



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Redaktor Marian Gawalewicz.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

**Piotra Laskauera i S-ki.**

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

## Z moich wędrówek.



Przy ulicy Solec pod nrem 36-ym wznosi się skromny dwupiętrowy budynek, ukryty w wieńcu drzew i zwojach dzikiego wina.

Tablica z napisem, umieszczona nad bramą, mówi nam o jego przeznaczeniu. Jest to schronienie dla niezdolnych do pracy i żłobek, pod wezwaniem św. Franciszka Salezego.

Wechodzimy. Zamknięta za nami furta przytłumia turkot ciężkich wozów fabrycznych i gwar ulicy; odzwierny, miły staruszek, wita nas uprzejmie, wskazując ręką w stronę, z kąd ożywiony gwar dochodzi.

Na zalanej słońcem niewielkiej przestrzeni, wśród zieleni i kwiatów, rozsypało się niby stadko owieczek kilkadziesiąt maleńkich istotek, jednako odzianych, czyściutek. To żłobek. Drobną dziatwa (od 1½ roku do lat 5) ubogich matek, pracujących po za domem, znajduje tu przez dzień cały opiekę, pożywienie dla ciała, a z ust szlachetnych opiekunek otrzymuje podwaliny zasad moralnych, dla swych budzących się z niemowlęstwa duszy-czek.

Dozorczyni żłobka, Siostra Czesława, stoi wśród tej ruchliwej gromadki, trzymając w objęciach pulchną, półtoraroczną dziewczynkę.

Na widok obcych, dziecina zapłakała gwałtownie, objęła mocno za szyję swoją opiekunkę, kryjąc główkę jak ptaszyna wylekła. Starsze dzieci są bardzo karne, lecz swobodne, wesołe i nie bojaźliwe. Niektóre z nich podchodziły do mnie, wspinały się na paluszki, sięgając po rękę do pocałowania. Inne, widocznie przywykłe do pieczęt, powtarzały to kilkakrotnie, podnosząc przytem słodkie ku mnie oczęta, pełne ufności niewinnej, że przecież ich pieczętota nie może być niemilą nikomu.

Lecz oto z wnętrza budynku wychodzi ku nam czcigodna Siostra Anna, inicjatorka zakładu, którego też zarząd, administracja i urządzenie całkowicie na jej barkach spoczywa. Zaprasza nas uprzejmie do obejrzenia zakładu; pod jej też przewodnictwem zwiedzamy wszystkie oddziały.

Przez całą długość budynku, na parterze i dwóch piętrach, ciągnie się szeroki korytarz z licznymi drzwiami, prowadzącymi do obszernych sal sypialnych.

Każda sala ma swego Patrona, którego imię czytamy na umieszczonej nad drzwiami tabliczce.

Najmniejszy obszarem pokój nosi napis: Izdebka Anioła Stróża. Tam, na skromnych łóżeczkach zasłanych równie skromną, lecz czyściutką pościółką, przespiają się w ciągu dnia, młodsze, zmęczone zabawą dzieciny.

Na umieszczonych w korytarzu ławkach ze stoliczkami, siedzą pensjonarki zakładu, schlu-

dnie, z widoczną o swój wygląd dbałością odziane staruszki, zajęte pończoszką.

Zaglądamy do sal. Stoją w nich rzędami czysto zasłane łóżka; przy każdym szafka niewielka i stolik.

Wiele łóżek jest zajętych. To starość zniedołężniada trzyma przykute do łoża swoje ofiary.

Na pierwszym piętrze znajduje się kaplica. Bogaty dawał pieniądze, artysta i rzemieślnik swą pracę, i tak z ofiarności ludzkiej, a niezmordowanych starań Siostry Anny powstał ten przybytek pociechy i ukojenia dla dusz znękanych walką życiową.

W ciszy i tajemniczym półmroku modlące się dwie nieruchome staruszki, natchnęły nas mistycznym nastrojem, przenosząc w epokę gorącej wiary naszych praojców.

Wyszedłszy z kaplicy, zatrzymujemy się na korytarzu.

Siostra Anna przedstawia nam niektóre pensjonarki, „ozdoby zakładu,” jak wyraża się żartobliwie.

P. Walerya Rostkowska, pierwsza na scenie wileńskiej „Halka“ (w r. 1854), dożywa tu swego wieku w spokoju, zadowolona ze skromnego bytu i wdzięczna za opiekę. Wesoła, rześka, mimo swoich 75 lat nie przypominająca starości, z cerą różową, jak u młodych, z uśmiechem pełnym jakiejś dziecięcej ufności do ludzi i życia, jest jedną z ostatnich już, niestety, przedstawicielek „wiecznie młodych.”

Drugą typową staruszką jest pani kapitanowa Gościńska z Tańskich, kuzynka znako-

mitej naszej autorki Klementyny Hoffmancej.

Ta, mogłaby być matką „Halki,” gdyż liczy 92 lata.

Ruchliwa, zwawa, w staroświeckim białym czepeczku, chodzi bez żadnej podpory i gdyby nie wzrok bardzo już osłabiony i twarz pomarszczona, niktby nie przypuścił, że dziewczę z okładem krzyżyków dźwiga na swych barkach.

Pamięć zachowała wyborną, z której jak ze skarbnicy, wyciąga w chwilach dobrego humoru, opowiadania zdarzeń i wypadków dawno minionych. Ostatnią jej ziemską miłością są kwiaty. Tych moc jest w niezbyt obszernym, lecz rękoma pensjonarzy przesłicznie utrzymanym ogródku.

Pani kapitanowa spędza tu czas, chodząc powoli po uliczkach, zatrzymuje się przed każdym niemal kwiatem, przemawiając do niego długo i czule.

Nasza sympatyczna „Halka” z praktyczniejszej strony bierze jeszcze życie. Wcale pięknymi paluszkami wykonywa bardzo piękne i misterne robótki w krosnach, które podziwialiśmy ze szczerem zachwytem.

Rozumna kierowniczka zakładu urządziła na parterze sale dla ubogich staruszek z proletaryatu, przeznaczając pierwsze piętro dla kobiet inteligentnych i starannie wychowanych. Drugie piętro zajmują starcy.

Czarowny widok otwiera się z galeryi balkonowej, ciągnącej się przez całą długość budynku.

Modre fale Wisły naszej u stóp niemal, Saska Kępa, strzelające wysoko wieże kościoła św. Floryana i sina rama lasu, zamykająca widnokrag, cudną tworzą dla oka panoramę.

Los, w osobie ś. p. J. Blocha, dziwnie okazał się łaskawym dla biedaków, którzy tu przytulili swe drżące, siwe głowy, wybierając taką miejscowość na dar, pod budowę przytułku dla nich. Tak tu uroczy, taki spokój głęboki! Żaden zgrzyt ziemski, ani rozterki światowe nie dochodzą do tego zakątka. Zda się, patrząc na ten tłum bezdomnych, bezradnych starców i kalek, iż sam Chrystus wyciąga ku nim ramiona, garnie ku sobie i woła:

„Pójdźcie do mnie, boście pracowali i obciążeni byliście, a teraz, czas dać odpoczynek zmęczonym duszom i ciałom waszym!...”

Prócz 150 pensjonarzy i pensjonarek otrzymujących darmo zaspokojenie wszelkich potrzeb materialnych i duchowych, zakład posiada kilka pensjonarek płatnych i jednego pensjonarza.

Są to osoby często zupełnie już niedołężne, piecza nad nimi moźniejsza, niż nad niemowlętami.

Każda z tych osób posiada oddzielny pokój, nieodstępna we dnie i w nocy służąca, troskliwą pomoc lekarską i staranną opiekę.

Odwiedziliśmy z naszą przewodniczką jedną z takich pensjonarek: jest to Angielka, niegdyś nauczycielka w Warszawie.

Zupełna niemoc starca przykuła staruszkę do fotela; organy wzroku, słuchu i władze umysłowo wypowiadają jej kolejno posłuszeństwo. Konsulat angielski płaci za jej utrzymanie, a konsul, p. Murray, często ją odwiedza i obdarza świeżymi kwiatami.

Doprawdy, ta starość zgrzybiała, obca już

wszystkim, bezdomna, wieńczona kwiatami i otaczana pamięcią serca, to najwyższy tryumf kultury umysłu i ducha.

Dziwne figle los płata niektórym ludziom. Przed paru laty, zakład przygarnął staruszkę, niegdyś w szerokich kołach znaną osobistość, ulubienicę fortuny, którego nieopatrzność doprowadziła do ostatniej nędzy.

Starzec w leżącym obok siebie na wspólnej sali towarzyszu poznał swego dawnego sługę. *Sic transit gloria mundi!*

Żłobek liczy sześćdziesięcioro dzieci.

Maleństwa przyprowadzane przez matki rano do Zakładu, są tu myte, czesane starannie, przyodziewane w fartuszek zakładowy nasładujący sukienkę; następnie po pacierzu dostają śniadanie, składające się z kakao i bułki.

W południe obiad: zupa z kawałkiem mięsa i jarzyną.

Na podwieczorek dostają dzieci kawałek chleba, a wieczorem herbatę z mlekiem i bułką, poczem opuszczają Zakład wraz z przybyłymi po nie matkami.

Dwoje dzieci jest stale w Zakładzie. Czteroletni chłopaczek, wychowanek Sióstr, zupełny sierota, i dziewczynka, przygarnięta przez Zakład ze względu na demoralizujący wpływ otoczenia, w jakim pozostawała.

Prócz staruszek i starców, widzieliśmy i młode, niezdolne do pracy istoty: jest np. kilku niewidomych, są idyoci, karlica, o której czcigodna Siostra Anna opowiadała nam z uznaniem, że odrzuciła propozycję przedsiębiorcy, chcącego obwozić ją na pokaz.

Zdaje się w ogóle, iż czcigodna Siostra Anna Kobylńska posiada jakiś szósty zmysł — cudowną intuicję wyławiania z odmętów życia zagrożonych pochłonięciem przez nie ofiar.

Dzieje powstania Zakładu są wymownym dowodem, jakie ciężary dźwignąć, jak olbrzymie trudności pokonać zdolna jedna wola niezłomna, jedno serce gorąco miłujące.

Dom, gdzie obecnie mieści się Zakład, powstał dopiero przed sześciu laty, lecz dzieło miłosierdzia zaczęło się przed laty dwudziestu, gdy czcigodna inicjatorka, zwiedzając jako delegowana z Biura nędzy wyjątkowej zaułki, suteryny i poddasza, odnajdywała tam starość bezsilną w szponach nędzy, dziecięcy głodne, brudne, bez dozoru, kwilące żałością za matkami, oddanemi pracy dzień cały po za domem.

Wówczas to myśl zaopiekowania się bezdomną starością i dzieciną bez dozoru zostawioną, kielkować zaczęła w sercu Siostry Anny, brak atoli zupełny środków paraliżował działalność.

Dzielna Siostra zaczęła kołatać do serc ludzi stojących wysoko społecznie i finansowo. Skoro zabiegi jej pomyślny odniosły skutek, otworzyła w wynajętym lokalu Schronienie.

A im więcej ciężarów i trudności mnożyło się nad jej głową, tem więcej rosła energia.

Potrzeba było opłacać drogo lokal obszerny, dać przytulonym tu biedakom całkowite utrzymanie, prócz tego zbierać fundusz na cicho piastowane w sercu najdroższe marzenie: zbudowania własnego dla Schroniska domu; a wszystko to z nieustającej nigdy żebraniny szlachetnej.

Bóg i ludzie dobrzy dopomogli, i oto na chwałę Bożą, a pociechę serc czujących nie-

dołę dziecka i starości, dom Schronienia otworzył przed sześciu laty podwoje dla przyjęcia swych pupilów. Warszawskie Towarzystwo dobroczynności przyjęło nowy zakład pod swoje orędownictwo, a opiekę nad zakładem roztoczyła pani z Blochów Weysenhoffowa.

Zdawałoby się, że już najważniejsza rzecz dokonana. Niestety! Tylko ptaszęta i lilie polne żyją bez troski o byt; człowiek potrzebuje chleba.

Do stołu w Schronieniu zasiada trzy razy dziennie przeszło 220 kobiet, mężczyzn i dzieci, a Zakład nie posiada żadnych stałych funduszy. Samo zaś jego przeznaczenie wyklucza możliwość pomagania sobie własną produkcją, jakkolwiek ani jedna siła robocza, ani jedne ręce do pracy zdadne, nie pozostają niewyzyskane, rozumie się w miarę możliwości.

Silniejsi pracują w ogrodzie, pod kierunkiem 80-letniego ogrodnika-pensjonarza. Były szewc łąta obuwie, były krawiec szyje odzienie; kobiety pomagają przy porządkach domowych, doglądają nieopuszczających już łóżka pensjonarzy, szyją, cerują i robią pończochy, lecz wszystko to nie nakarmi, ani odzieje 220 ludzi, nie ogrzeje w zimie dużego gmachu,

To też, jak nam zwierzała się Siostra Anna, usycha jej niekiedy głowa od troski, by, jak to mówią, koniec z końcem związać, co czasem z ciężkim przychodzi wysiłkiem.

Ofiarność serc szlachetnych czyni tu bardzo wiele, bo wszak nią tylko Zakład istnieje, lecz aby utrzymanie jego oprzeć na trwałej podstawie, potrzebaby zapewnić mu stały fundusz. Takim funduszem byłby dochód z przyjmowania płatnych pensjonarzy. Aby to się stać mogło, potrzeba koniecznie przybudować oficynę, gdyż obecnie brak na ten cel swobodnego miejsca.

Siostra Anna nie traci nadziei: „Bóg dopomoże i dobrzy ludzie” — mówi z wiarą głęboką, że pomoc znaleźć się musi, bo wszak Bóg nie zapomni o biedakach, których jej pieczy powierzył.

Zdumiewająca zaiste jest karność, panująca w Zakładzie.

Antagoniści odmawiają kobietom zdolności rządzenia. Odsyłam ich do „Schronienia dla niezdolnych do pracy,” a tam poznają, jak utrzymać karność przez miłość. Szkoła dla utrzymania subordynacji potrzebuje kar i nagród; militarizm srogość często w pomoc wzwąć musi. Siostra Anna rządzi liczną swą, z tak różnych żywiołów złożoną gromadką, magiczną mocą miłości i siły moralnej.

Gdybyż tylko ta ostatnia nie zużywała się wśród nieustannej troski: jak zaspokoić apetyt swej gromadki. To nie żarty! Codziennie do obiadu samych kartofli gotuje się *korzec* cały. Czteroletni wychowanek Zakładu, o którym pisałam wyżej, przy rozdawaniu porcy otrzymał niepełny kubek mleka.

Nie darował swego. Obrażony, zaniósł go do swej opiekunki, mówiąc: „Mnie się należy pełny kubek. Ja sie nie najem...”

Nieprawdaż, szanowne Czytelniczki, że z takimi wymaganiami liczyć się trzeba, i dlatego, tklwym waszym sercom i pamięci pozwalam sobie ubogą gromadkę Siostry Anny polecić.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).

# NASZ KWESTYONARIUSZ PANIEŃSKI.



## IV.

Zapytania Szan. Redakcyi, zamieszczone w n-rze 15-ym „Bluszczu,” dały mi pohop do skreślenia kilku uwag o „kwestyi kobiecej.” Za punkt wyjścia do niniejszego artykułu biorę powszechnie utarte zdanie, że celem życia i dążeń ludzkich jest wytworzenie jak największej sumy szczęścia na świecie, tudzież aforyzm Sienkiewicza: „Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi,”—i zapytuję, czy i o ile terażniejsze wychowanie czyni kobiety nasze zdolnymi do zaspokojenia ich pragnień, ideałów, szerszych aspiracji, a tem samem do osiągnięcia szczęścia?

Odpowiedź wypada przecząco: nie spotkałam panny, któraby nie odczuwała silnie rozdźwięku między tem, co sobie wymarzyła, a tem, co jej dało życie. Trzy są główne rodzaje wychowania kobiet, a czyż choć jedno z nich daje im możność zabezpieczenia bytu sobie i swej rodzinie w razie potrzeby, czyż choć jedno uzbraja je do walki z życiem?

Co daje klasztor? znajomość obcych języków i pięknych manier; zaszczepia natomiast w duszy dziewczęcej zupełnie odrębny, idealny pogląd na świat, po to, by dziewczę, opuściwszy mury klasztorne z zupełną nieznajomością świata i ludzi, spotykało się na każdym kroku z rozczarowaniem, by widziało złotą pajęczynę swej wiary i ufności na strzępy podartą?

A wychowanie domowe? Trzy kardynalne wady cechują je: częsta zmiana nauczycielek, nauka niesystematyczna, bez żadnego z góry określonego planu, gdyż każda z wychowawczyń za punkt honoru uważa potępienie programu swej poprzedniczki i zastosowanie innego, wreszcie edukacja domowa nie daje żadnych podstaw do samodzielnej pracy.

W najkorzystniejszym położeniu znajdują się panny, pobierające naukę na pensjach: program jest dość obszerny, nadto pensje dają możność uzyskania dyplomu i otwierają drogę do dalszego kształcenia się, w miarę chęci danej jednostki. W tem tylko bieda, że chęci te pozostają najczęściej niezaspokojone.

Każda, nawet przeciętna panienka, ma swój okres szerszych pragnień, wznioślejszych aspiracji, ale gdy nadchodzi czas urzeczywistnienia tych marzeń, zjawiają się różne przeszkody, najczęściej „rodzice nie chcą,” i wynikiem tych ambitnych dążeń jest to, że panna, o ile nie jedzie do miasta „dla języków i muzyki,” pozostaje w domu i rozpoczyna nudną, ciężką i bezmyślną rolę „panny na wydaniu.” I zwykle wtedy powstaje w każdej podnioślejszej duszy kolizja między dawnymi ideałami, a obecną rzeczywistością. Nastają chwile wewnętrznych buntów, wahań, niepewności: wziąć rozbrat z dawnymi pragnieniami, zastosować się do obecnego położenia, zaprzężyć się w rydwan drobnych, bezcelowych zajęć, czy też na przekór rodzicom, otoczeniu, przesądom, dążyć po drodze, nakreślonej w rojeniach dziewczycy? Najczęściej zwycięża pierwsze: młoda panna wkracza powoli w to koło banalności, konwencyonalizmu, które jej dawniej tak wstrętnymi były, w końcu godzi się z losem, zwłaszcza, gdy zjawi się jakiś mile widziany konkurent.

I czyż można się dziwić, że w dzisiejszych warunkach panny nasze widzą w małżeństwie deskę ratunku i nieraz wychodzą za mąż bez miłości, dlatego jedynie, że małżeństwo otwiera im drogę do nowego, celowego życia i czyż wina leży tu wyłącznie po stronie pańien?

Niech i ogół uderzy się w piersi i powie: „*mea culpa.*”

Gdybyśmy, kobiety, nie spotykały się na każdym kroku z przeszkodami, szyderstwem, gdybyśmy nie potrzebowały piąć się z trudem po drabinie naszych pragnień i każdy jej szczebel zdobywać po długiej i zaciętej walce, do której wiele z nas nie czuje sił w sobie, wtedy mniejby było między nami istot bezużytecznych, a nawet, nazywając rzeczy po imieniu, pasorzytów, więcej natomiast dzielnych pracowniczek na niwie społecznej.

Jakież więc mogą być środki zaradcze?... Przedewszystkiem ze strony ogółu więcej pobłażliwości, więcej zachęty dla tych nieśmiałych kroków, stawianych przez nasze zwolenniczki samodzielnej pracy, następnie zaś—tu zwracam się do spraw bardziej realnych,—gruntowna i od samych podwalin rozpoczęta reforma wychowania kobiecego.

Rzecz naturalna, że do reformy tej powinny przystąpić przedewszystkiem kobiety-matki: niech starają się córki swe przysposobić od lat najmłodszych do pracy samodzielnej, niech wszczepią im w dzieciństwie już poczucie, że każda jednostka obowiązana jest spłacić dług, zaciągnięty względem społeczeństwa, i niech wreszcie dadzą im możność nabycia jakiegokolwiek fachu, a zobaczymy, że tak uzbrojona kobieta nie ulęknie się życia. A jeśli nadto posiada głębokie poczucie obowiązku i skłonność do ofiar, nie tylko nie będzie lekceważyla zajęć matki i gospodyni, ale potrafi być dzielną towarzyszką męża i jego pomocą na niedostępnych dotąd dla kobietyżony i matki polach działalności społecznej i umysłowej.

Nader pociesającym faktem są coraz liczniejsze i częstsze nawoływania do utworzenia wyższej instytucji dla kobiet. Kraków posiada Muzeum Baranieckiego; Warszawa nie podobnego dotąd nie ma, a przecież kursy historii, fizyki, chemii, psychologii, a zwłaszcza higieny i pedagogii, byłyby nader przydatne naszym kobietom.

Bardzo dobry projekt poruszyła p. Z. Morawska w n-rze 18-ym „Tyg. Illustr.,” zastanawiając się nad niesystematycznym wykształceniem naszych pańien. Autorka dochodzi do wniosków następujących: 1) potrzebny jest zakład, w którymby „odrzucone od systematycznego wykształcenia, mogły uczyć się najpotrzebniejszych przedmiotów,” i 2) zakład, „w którymby młode panny mogły kształcić się w naukach nieobjętych programem szkolnym.”

Zakład taki (nr 2) niezbędny dla każdej kobiety, pragnącej dorównać mężowi pod względem umysłowym i stać się rozumną wychowawczynią młodego pokolenia, nie jest wszakże wystarczający, gdyż otwiera drogę do jednego tylko rodzaju pracy zawodowej—do nauczycielstwa. Praca zbyt gorzka, zbyt męcząca i zbyt mało popłatna, by mogła uczynić drogę życia kobiety samodzielnej jaśniejszą.

Mojem zdaniem, każda panna powinna posiadać nadto jakiś fach. Uniwersytety stoją dziś otworem dla kobiet, zaś od mniej żądnych wiedzy, olbrzymie pole pracy fizycznej domaga się uprawy. Szkół zawodowych nam nie brak: posiadamy przecie Muzeum pszczelnictwa i ogrodnictwa, dwie szkoły gospodarstwa dla kobiet (Chyliczki, Zakopane), szkołę rzemiosł w Warszawie, niedawno otwarte kursy rolnicze dla kobiet w Kijowie. W ogóle przy wyborze jakiegokolwiek zawodu jedyną wskazówką powinny być upodobania danej jednostki, żadnych tutaj wskazówek *a priori* stawiać nie można. Nie powinny więc panny kępować się przestarzałymi radami w rodzaju tej: „Po co ci studyować tę lub ową gałąź wiedzy fachowej czy też umysłowej? Czyż kobiecie to się w życiu przyda?” Trzeba nam przebić odwieczny mur chiński przesądów. Każda praca jest dobrą, jeśli przystępuje się do niej nie dla próżnej ambicyi, ale w imię

wielkiego umiłowania i głębokiego poczucia doniosłości owej pracy.

Na ogół biorąc, panny nasze posiadają wiele zalet: inteligencyę, zdolności, chęć do pracy i owo, niezaspokojone najczęściej w skutek odwiecznych przesądów, poczucie, że trzeba być czemś i działać. Tem większa szkoda, że tyle jednostek marnieje, tyle szlachetnych pragnień ginie bez pożytku dla ogółu.

Streszczam swe wywody: według mnie każda kobieta po ukończeniu średniej szkoły, powinna kształcić się w dalszym ciągu umysłowo na wyższych kursach (o ile nie pociąga jej wiedza uniwersytecka w wyższych uczelniach), których, daj nam Boże jak najprędzej się doczekać w Warszawie. Leży to w jej własnym interesie, jako przyszłej wychowawczyni młodego pokolenia.

Następnie powinna posiadać fach, któryby dał jej możność samodzielnej egzystencji w razie potrzeby. Tak przygotowana do życia, kobieta stanie się rzeczywiście „drugą, niemniej ważną połową rodzaju ludzkiego” i podniesie swą godność w oczach mężczyzny.

Teraz słów kilka o mężczyznach w ich stosunku do kobiet: uważam, że w ich pojęciach o nas i w ich wymaganiach przebija się ogromna nieznajomość duszy kobiecej; my szukamy w mężczyźnie szlachetności charakteru, głębokości umysłu, wogóle tego wszyściego, co pod niejasnym pojęciem „duszy” określamy, oni zaś „ładnej i poczciwej żony.” Są przytem daleko wrażliwsi od kobiet na zalety czysto zewnętrzne: pierwsza ładna twarzyczka jest w stanie przyprawić ich o zawrót głowy lub kompletne „zglupienie.” A jeśli dana panna posiada obok tego pewną ogładę salonową, umie płynnie mówić o byle czem, w dodatku zaś smaży niezłe konfitury i zna się na prasowaniu kołnierzyków... to zginąłeś, szlachetny potomku Adama!...

Artykuł niniejszy nie zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania. Sądję jednak, że Redakcyi chodziło głównie o poznanie indywidualnych poglądów ogółu naszych pańien na tak żywotną kwestyę kobiecą. Poglądy swe wyraziłam, zdaje mi się, dość jasno. Na zakończenie dodam jeszcze, że nie należę bynajmniej do szregu samodzielnych pańien, ale może dla tego właśnie tak silnie odczuwam potrzebę owej samodzielności. Gdyby mi zostawiono swobodę działania, wyfrunęłabym natychmiast w świat szeroki, by umoczyć swe usta w nęcącym kielichu wiedzy.

Felicja Wyleżyńska.

## V.

Czem była panna w społeczeństwie, czem jest, a przedewszystkiem czem być powinna, to jest kwestya najbardziej nas teraz obchodząca i najżywiej poruszana. Postaramy się też, o ile możności, ją wyjaśnić. Chodzi o to, by panna nie była w dalszym ciągu tem zere-m w społeczeństwie, tą istotą bierną, niezdolną do żadnego poważniejszego czynu, tą lalką, oddaną jakby na pastwę losu, bo przecież ona niema w ręku swej przyszłości i nie może nią pokierować dowolnie, nie zdolna jest bowiem sama z siebie do jakiegokolwiek pracy społecznej i tem samem staje się ową „panną na wydaniu,” t. j. mogącej co najwyżej wyjść za mąż, nie mówiąc już o jakim innem zajęciu.

Że wychodzi za mąż, nie w tem dziwnego, bo każda panna może się tego spodziewać, nawet taka, która ma jakiś cel przed sobą i drogę wytkniętą, ale to jest dla niej upokarzającym i z tego względu mówimy o niej z ironią „panna na wydaniu,” że ona niczem nie umie się zająć, nie może być sama z siebie użyteczną jednostką w społeczeństwie, ale z konieczności musi oczekiwać, aż ktoś jej ręce do działania rozwiąże. Tak było i jest

teraz i ażeby coś zmienić, trzeba zacząć od fundamentu, t. j. od wychowania. Przewszystkiem trzeba wpajać w nią to przekonanie, że ona także stworzona do pracy, skłaniać ją do poważnego zastanawiania się nad sobą i nad swoją przyszłością, by ją kiedyś poważnie traktować mogła, a nie jako zabawkę podjętą z własnej woli; przytem powinna koniecznie otrzymać gruntowne wykształcenie, któreby jej dało możność wyuczenia się czegoś wyłącznie i czemu mogłaby poświęcić się z zamiłowaniem.

Panna już zawczasu nauczona myśleć poważnie i doświadczona w miarę możności, zastanowi się dobrze nad sobą, dokona w zupełności, co sobie postanowiła, a zamiłowanie w swoim fachu będzie nie małą ku temu pomocą. Niektórzy nazwaliby ją może emancypantką, bo porównując taką pannę do obecnej, upatrywaliby w tem przesadę, tak dziś wszystkich rażącą, ale dlaczegoż kobieta ma być niższą pod tym względem od każdego mężczyzny? Jak każdy z nich, po skończeniu gimnazjum, ma drogę wolną i obiera sobie jakieś fachowe zajęcie, tak samo i kobieta, będąc od samego dzieciństwa do tego wdrażaną i przysposobioną, mogłaby obrać sobie jakiś zawód, do którego szczególnie czuje pociąg i zamiłowanie, wtenczas spędziłaby użytecznie swoje lata panięskie w pracy i obowiązkach, a nie oczekiwałyby z konieczności na męża i nie wychodziłyby za mąż tylko dlatego, że niema dla niej innego wyjścia. Gdyby nawet została tą ośmieszoną dzisiaj starą panną, mając możność pracy i szczerą chęć służenia nią krajowi, dowiodłaby, że i w panięskim stanie można zdziałać coś użytecznego, wzbudziłaby uszanowanie dla swej pracy i zadałaby kłam ogólnej, a tak dziś nieprzychylniej dla starych panien opinii. I dziś zdarzają się wyjątki dodatnie pod tym względem, a to dlatego, że jednostki te, obdarzone większą energią i siłą moralną, nie mogąc wyżyć w bezczynności i lenistwie, chętnie garną się do pracy i że ona im jest jakby potrzebna do życia; zresztą może chcą swym przykładem zachęcić inne do naśladownictwa, i tym sposobem wprowadzić w praktykę ową kwestyę kobiecą, tak często poruszaną i roztrząsaną.

Ileż to teraz przykładów, że panny, szczególnie biedniejsze i brzydsze, wychodzą za mąż bez miłości, często bez własnej woli, jako przymuszone, bo inaczej nie miałyby co z sobą zrobić, — a także często ze względów majątkowych, by nie klepać biedy całe życie; gdyby znały pracę i w ogóle miały możność pracowania, nie oglądałyby się na bogatych mężów, bo nie zmuszałyby ich do tego potrzeba, ale znalazłszy męża z przekonania, dopomagałyby mu pracą na swoją rękę, pełniąc obok obowiązków małżeńskich i inne społeczne.

Głównie więc chodzi o to, by każda panna, znając świat, umiała dać sobie radę w trudnych nieraz okolicznościach życia, by rozpoczynając życie niezależne, poznała dobrze jego dobre i złe strony, by umiała sama ułożyć sobie to życie i pożytecznie je przepełnić. Jedyna na to rada zmienić i nadać inny kierunek dzisiejszemu wychowaniu.

To jest pierwsza nasza potrzeba.

*Petronela.*

## VI.

Panna, jako istota bierna w społeczeństwie, żadną miarą ostać się nie może, każda to rozumie, i pragnie pod tym względem dla siebie i innych zmiany na lepsze. Postęp w tym kierunku istnieje zawsze, ale są i liczne braki, którym zaradzić potrzeba, a za podniesienie tej myśli w „Bluszczu,” piśmie tak poczytnem i miłym dla nas, należy się wdzięczność i uznanie z naszej strony, któremi to

uczuciami szczerze przejęte jesteśmy. Pragnąc zmiany na przyszłość, zaznaczam, że nie ganię, ani lekceważę sobie pracy dawnych kobiet i panien, ani twierdzą, by ich usiłowania były bezpożyteczne i próżne, a życie puste i bez treści, tylko, że kobiety powinny się zawsze przystosowywać do ducha epoki. Co było odpowiedniem dla tamtych, dzisiejszym jużby nie przystało, bo warunki życiowe ciągle się zmieniają, nie też w miejscu stać nie może, ale powinno iść naprzód, rozwijać się i udoskonalać.

Tak też dzieć się powinno i z wychowaniem panien.

Podług mnie największą wadą w wychowaniu jest nierozwijanie samodzielności, nietylko, że się nad nią nie pracuje i jej nie kształci, ale wszelki taki objaw u młodej dziewczyny bywa powstrzymywany, a nawet karcony, kiedy przeciwnie, jeżeli tylko jest w dobrym kierunku, powinien być starannie pielęgnowany, rozwijany i kształcony.

Ten brak samodzielności, na każdym kroku później w życiu boleśnie czuć się daje, bo wychowanie za mało daje jej hartu i nie przyczynia się do zwalczania wad najczęściej spotykanych i właściwych kobietom; dlatego nigdy nie przestaje być istotą słabą, niezdolną samej sobie dawać radę w życiu, ale zawsze wyczekuje pomocy silniejszej i radaby ciężar życia zrzucić na barki mężczyzny całkowicie, a nie podzielić się nim i dźwigać go wspólnie.

Tymczasem tak być nie powinno, panna powinna od najmłodszych lat tak być chowana, że gdyby w późniejszych latach wcale za mąż nie wyszła, to ta ewentualność wcale nie powinna jej wykołocić, a myśl, że sama przez się, jest jednostką pożyteczną, a więc dodatnią w społeczeństwie, na tyle osładza życie, by jej dodawała bodźca i siły do pracy dalszej. Wszak wiadomo, że liczba kobiet jest większą od liczby mężczyzn, na męża więc każda z nich liczyć nie może, lepiej więc będzie, gdy jest przygotowaną na to, co ją czeka, t. j. na życie trudne i pracowite, przygotowaną na to, by samej zdobywać trudne warunki życiowe. Jeżeli mąż się znajdzie w przyszłości, tem lepiej, jeżeli nie, to i tak umieć sobie poradzić, czyż to nie dobre wyjście? Ale w dzisiejszych czasach prąd ten jest jeszcze za mało ogólny, wszyscy go po trochu znają, ale by w życiu i w wychowaniu córek go stosować, to się rzadziej spotykać daje, a przez to wzrasta ilość istot biernych i niezadowolonych z losu, które rozczarowawszy się do świata, wyrzekają tylko i goręczą zatrzuwają sobie i drugim życie.

Na to jest tylko taka rada: kobietę należy zupełnie zrównać z mężczyzną, ale nie pod tym względem, by ona mu dorównywała we wszystkim, by zadziwiała świat nauką, wykształceniem, by jej wolno było czynić różne ekscesy pod pokrywką równouprawnienia, ale by w wychowaniu i daniu jej wykształcenia stosownego, była takąż sama troskliwość i staranność, jakimi się kierują rodzice względem chłopców.

Gdy panna skończy pensję lub edukację domową, niechże zaraz wybierze sobie jakiś zawód lub zajęcie, odpowiadające jej wykształceniu lub zdolnościom, i niech usilnej pracy dołoży, by te obowiązki spełniać wzorowo i wytrwale. Niech je umiłuje i niech one będą jej celem w życiu, a tak je sobie zapełniwszy, nie będzie czuła nigdy pustki. Czy potrzebuje pracować, czy nie, powinna mieć to pojęcie wdrożone, że praca jest niezbędną dla każdego człowieka, że żadna jednostka, choćby najszcześliwiej na drabinie społecznej umieszczona, wolną od niej nie jest, że praca dopiero nadaje jej wartość, i uszlachetnia ją w wysokim stopniu. A dzisiaj przecież tak nie jest, pracuje tylko ta, która musi, którą smutne warunki z domu wypędzają, a te obowiązki spełnia pod przy-

musem, uważa się za skrzywdzoną przez los, upośledzoną istotę, godną pożałowania i liłości.

Za mało jest to pojęcie wdrożone we wszystkich, że praca, choćby najmniejsza, jeżeli tylko ma jakiś cel przed sobą, nie upośledza jednostki, lecz przynosi jej zaszczyt, i taka osoba godna jest największego szacunku i uznania. Chodzi więc tylko o to, by ułatwić kobietom pracę. Zwykle się mówi, że każdy, kto chce pracować, może i znajdzie dla siebie coś pożytecznego i drugim korzyść przynoszącego — i pewno, że tak jest, ale potrzebna w życiu jest ta zmiana: by praca nie zależała od dobrej lub złej woli jednostki, ale była wprost potrzebą, wymaganiam społeczeństwa, jako rzecz konieczna i niezbędną dla każdej panny. Wtedy tylko stanie się ona pożytecznym pionkiem, a chociażby jej praca przynosiła bardzo małe korzyści, jeszcze nie należałoby tracić nadziei, że na przyszłość coraz lepiej, coraz doskonalej pracować będzie. Ale w naszych czasach jeszcze wszelki śmielszy i szlachetniejszy poryw często bywa uważany u panny, jako ekscentryczny, nie na miejscu zupełnie i dający jej przewisko dziwaczki, która na przyszłość nic dobrego nie rokuje.

To są warunki niesprzyjające postępowi kobiet, które w znacznej mierze trzeba usunąć i nadać kierunek odwrotny, chcąc dojść do coraz poważniejszych rezultatów, a te przesady są jeszcze silnie zakorzenione w społeczeństwie. Dopiero gdy wszystkie bez wyjątku kobiety pracować zaczną, wtedy i warunki życiowe, które nieraz są trudne, zmienią się na lepsze, i kobiety wywalczą sobie wolność pracy. Wszak toby nie wpłynęło źle na późniejsze obowiązki, panny wyszedłszy za mąż, spełniałyby je na pewno lepiej, bo byłyby do nich przygotowane własną pracą i wzbogacone własnym doświadczeniem, te zaś, któreby wcale za mąż nie poszły, miałyby przed sobą cel i dźwignię w życiu, bez niej byłyby to istoty wykołeczone i zmarnowane.

Że tak z czasem będzie, ufam, i życzyć tylko należy, by ta zmiana nastąpiła jak najprędzej, i by każda panna w swoim kółku pracowała i czyniła co może dla zmiany na lepsze, do czego i ja także należeć pragnę i obiecuję.

Z szacunkiem *Demokratka.*



*Julia Terpiłowska.*



# PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Stan pana Tomasza pogarszał się z każdą godziną i warszawski doktor znalazł go już beznadziejnym. Uczony profesor wytlómaczył komplikacje choroby, wyliczył godziny, po upływie których paraliż miał dojść do serca, przepisał lekarstwo, mające przynieść chwilową ulgę — i odjechał, nie zostawivszy środka na utrzymanie w spójności molekułów, które miały przejść w inne formy bytu.

Po przyjęciu lekarstwa chory spał głęboko i coraz spokojniej, chrapliwy oddech jego stawał się coraz cichszym, równiejszym, a kiedy słońce, schodząc z południa ku zachodowi, zajrzało w okna sypialni, ocknął się, spoj-

rzał przytomnie, i do siedzącej przy łożu żony wyciągnął rękę, która zachowała władzę.

— Salusiu—rzekł z pogodnym uśmiechem,— jest mi zupełnie dobrze. Czuję, że Bóg miłosierny da mi łaskę szczęśliwej śmierci. Proście Kanonika.

Zostawiono ich we dwóch na pół godziny, poczem zeszła się rodzina, domownicy, służba — i pan Tomasz przyjął ostatnie Sakramenta w sposób tak uroczysty, że nikt nie śmiał okazać smutku, wobec tej ufności i tego spokoju, z jakimi dusza sprawiedliwego gotowała się w drogę do lepszego świata.

Jedna tylko pani Mimi, klęcząc na fotel pochylona, z twarzą ukrytą w dłonie, szlochała z cicha, zaciskając usta chusteczką, a po skończonej ceremonii, podbiegła do łoża chorego — i osunąwszy się na kolana, z głośnym łkaniem zaczęła rękę jego całować. A wtedy ta ręka podniosła się zwolna, pan Tomasz zakreślił krzyżyk nad jej głową i rzekł łagodnie:

— Niech Bóg będzie z tobą, Maryniu!

Pani Mimi, spazmatycznie płacząc, wybiegła z pokoju, i długo jeszcze szlochała, leżąc na szezłagu w swoim gabinecie. Ale żal jej, chociaż szczery, złagodziło znacznie błogosławieństwo teścia, kojąc szarpiającą jej nerwy trwożę zaalarmowanego sumienia. Wypłakawszy się, zażyła bromu, napudrowała twarz od lez zapuchniętą — i zaczęła z panną Florentyną szukać w żurnalach modelu żałobnego kapelusza.

Pan Tomasz wypił filiżankę bulionu i kieliszek starego wina, poczem wzmocniony i cokolwiek podniecony, wydawał się rzeźwym, jak człowiek zdrowy. Do każdego z otaczających odezwał się serdecznym słowem. Klarze dziękował za troskliwość, Jurowi polecał przyszłość Przystani, a do Malwy uśmiechając się, nazywał ją swoją córeczką. Pogawędziwszy tak chwilę, rzekł do Kanonika:

— Dobrodzieju kochany — testamentu pisać nie potrzebuję, gdyż i ojcowizna moja i grosz gotowy naturalnym rzeczy porządkiem przechodzą w ręce mego wnuka. Ale legaty, które z odziedziczonych kapitałów Zygmunta ma wypłacać, musimy dla lepszej pamięci wypisać dokładnie, dopóki myśl przytomna. Weź tedy, dobrodzieju, papieru i pióro, podyktuję ci słów kilka, które odczytasz publicznie w czasie odpowiednim.

Znów zostawiono ich samych, a gdy po załatwieniu sprawy powrócili otaczający, chory rzekł do żony i wnuka:

— Nie będę was zasmucał rozporządzeniami, tyzącami się śmiertelnej powłoki, którą zostawię na tym świecie; Kanonikowi objawiłem moje życzenia w tym względzie, które wam zakomunikuje, skoro będzie pora. Rozstajemy się nie na długo — a w dobrej nadziei, że Bóg nas znowu zjednoczy, poczem już nigdy nie nastąpi rozstanie.

Pocałował ją w czoło i w rękę, i zwrócił się do wnuka:

— A ty, Zygmuncie, masz jeszcze długą pielgrzymkę przed sobą; — patrz-że, abys ją godnie przebył — i przy Bożkiej pomocy zdążył kiedyś tam, gdzie my oboje czekać na ciebie będziemy. I pragnę, abys nam przywiódł z sobą zacną towarzyszkę, tę — którą mam nadzieję, że Bóg przeznaczył, aby szła

z tobą ręką w rękę drogą pożytecznej pracy i niezachwianej cnoty.

Pobłogosławił wnuka, pożegnał Malwę — a potem, powściągnąwszy wzruszenie, rzekł swobodnie:

— No, już jestem w porządku! Przenieście mnie teraz na fotel i przysuńcie do okna: niech jeszcze popatrzę na wszystko, co drogiem mi było.

Usadzono go w poduszkach u otwartego okna, odetchnął świeżością przedwieczorną — i zapatrzył się w szeroki widnokrąg, obłany słoneczną poświatą.

Tuż pod oknami zaczynał się strzyżony trawnik, idący lekką pochyłością daleko, do ogrodzenia z białych sztachet. Przedzielał on dwie części ogrodu, nową, opodal od dworu po lewej stronie wydłużającą się ciemnym pasem angielskiego parku, i starą, z prawej strony przypierającą prawie do ścian domu lipowym szpalerem, po za którym widać było staroświeckie kwatery i wirydarze, rozłożyste i cieniste, poprzerzynane drózkami z agrestu i porzeczek, obrzeżone rabatami z niskich astrów różowych i liliowych, upstrzone klombami z ostatnich jesiennych lewkonii i wysokich, jasno-żółtych lub ciemno-czerwonych georginii. Poniżej, za ogrodami i sadami, skupiały się dachy gospodarskich zabudowań, Długie ściany obór i owczarni świeciły białem otynkowaniem, wysokie dachy stodoły i spichlerza podbite były nowymi gontami, na stodołę leżało koło z gniazdem bocianiem, obok spichlerza tkwił gołębnik, śnieżnym ptactwem obrzucony, przed stajniami i wozowniami kręcili się fornale, a ze stodoły dolatywało ludzkie pokrzykiwanie i głucho warczenie pracującej młocarni.

Z przeciwnej strony, z za ostatnich drzew parku wynurzała się wieś Nabrzeżany. Miło było oku spocząć na tych sadybach okolonych sadami, ogrodzonych częstokołem, żółciejących strzechą ze świeżej słomy, bielejących murowanym kominem. Tuż za wsią rzeka skręcała z za wzgórza ku łąkom, wpadającą do niej strugę przecinała grobla sitowiem i tatarakiem rzeźbiąc poobtykana, na grobli młyn opylony biało terkotał, pienił się i pryskał, a przed groblą kuźnia czarno opruszona sapała skrami czerwonymi, z ciemnej paszczy zionąc miarowym stukiem młotów. W przedwieczornej godzinie przed nadejściem nocej ciszy, wzmogły się dzienne gwary: spiewały chórem powracające z kopaczkami na ramieniu kobiety, turkotały wozy podążające z pola, bydło ryczało, rozbiegając się po zagrodach, gdzie niegdzie odezwało się nawoływanie za opóźnioną krową, nad drepeżącym drogą stadem owiec unosiło się razem z chmurą kurzu przeciągłe beczenie, poszczekiwanie psów akcentowane, a od studni ze skrzytem zórawia leciały wesołe młode głosy. Ze wzgórza po nad wsią górował gęsto zadrzewiony cmentarz, a tam z pomiędzy piramidalnych topoli błyskał krzyż na grobowej kaplicy, gdzie kilka pokoleń Nabrzeżskich spoczywało po ziemiańskiej pracy wśród tego otoczenia, które było ich działalnością polem.

A w środku, pomiędzy wsią na lewo i folwarkiem na prawo, porozkładały się szeroko i daleko klejnoty ze skarbnicy ziemianina: pola, łąki i lasy. Smugi złotawego rżyska

zmieniały się z platomi szmaragdowej runi, czerniały szmaty podoranej roli i ostatnią jesienną ozdobą pstrzyły się łąki nadrzeczne. Wszystko to falowało po wzgórzach i dolinach, zbiegało ku parowom, pieło się na wyżyny, wreszcie ginęło w omglonej dali, zakończonej to ciemnym pasem lasu, to kępą drzew i dachów sąsiedniej wioski. Na łąkach było stert jak grzybów w lesie, na łąkach stogów bez liku, a daninę swą składały nawet wonne zioła, bo na skraju parku, wśród gąszczu grusz rosochatych, widać było liczne pnie pasieki. Od promu na rzece ukosem przez pola, obsadzona wierzba i olszyną droga wędrowała w świat daleki, mijając tu na wzgórkach wysoki krzyż pochyły, białą płachtą przewiązany, tam kurhan samotny z karłowatym dębczakiem na szczycie, ówdzie — przy mostku — kapliczkę ze statuą nad krynica wśród kaliny. Cały widnokrąg kloniące się ku granicznej jego linii słońce osypywało złotawym pyłem, a od blednącego powoli błękitu ku owijającej się zwolna w mgły wieczornej ziemi, płynęła szeroka fala pogodnego, uroczystego spokoju.

Przez długą chwilę pan Tomasz wodził wzrokiem dokoła, a oczy jego, dotąd suche i jasne, zamgliły się i zwilgotniały. Położył dłoń na rękę Kanonika i rzekł z cicha:

— Wiesz — dobrodzieju — strasznie żal mi ot — tego!...

Objął oczyma wszystkie szczegóły roztaczającej się przed oknem panoramy — i ciągnął dalej:

— Blizkich moich opuszczam w błogiej ufności, że — da Bóg — znowu się z sobą zjedziemy, — ale tego nikt mi już nigdy nie wróci... Ziemia — glina bezduszna, — jednak serce przylgnęło do niej, jak dziecko do matczyńskiej piersi, i oderwane od niej, głód poczuje nawet w niebie...

Wpadł w tęskną zadumę i mówił powoli, jakby sennym głosem.

— Proch się w proch obróci — i nigdy już noga nie stąpi na rodzinną niwę, ręka nie ujmie kłosów, ani kwiecica, ucho nie posłyszysz zbóż szumu i skowrończej pieśni, oko nie spojrzysz na to, co takie swoje, takie miłe i drogie — nigdy...

Z ciężkim westchnieniem opuścił głowę na piersi, lecz wnet ją podniósł — i oczy, w których teraz był wyraz niepokoju, zwrócił ku twarzy Kanonika.

— Wszak to grzech, dobrodzieju?... — zapytał nagle. — To jest grzeszne uczucie, żałować swojej śmiertelnej powłoki i jej doczesnego mieszkania? Czy Pan Bóg przebaczy takiej duszy, która w niebie będzie tęskniła za tą ziemią swoją i za tem przyrośniętym do niej ciałem?...

— Nie długo będzie tęskniła, panie Tomaszu kochany — odpowiedział poważnie Kanonik. — Wszak tam wieki są chwila, — a więc prędko przyjdzie czas, w którym Bóg ci to wszystko przywróci.

— Jakto przywróci? wszakżeż ciało — proch, a dusza nie zechce, ani potrafi żyć po ziemsku na ziemi?

— Wierzysz w przedostatni artykuł Składu Apostolskiego? — zapytał Kanonik bardzo seryo.

— Wierzę we wszystko bez żadnych re-

strykcy,—odpowiedział pan Tomasz z przejęciem.— Przedostatni artykuł...

Dopomagając słabnącej pamięci począł poruszać ustami, szepcząc „Wierzę w Boga.“

— Przedostatni artykuł: ciała zmartwychwstanie? — rzekł pytająco.

-- Właśnie, — odpowiedział Kanonik. — „Umarli powstaną nieskażonymi, śmiertelne przyoblecze nieśmiertelność“ — mówi Paweł święty. Odnajdziemy kiedyś naszą ziemską powłokę oczyszczoną, udoskonaloną, lecz tę samą, — a doczesne to nasze mieszkanie także zostanie nam przywróconem w precudnej postaci Nowego Jeruzalem.

— Tak, tak! pamiętam, teraz pamiętam! — zawołał chory z radosnem ożywieniem.— Poprzednio zapomniałem,— to była pokusa, ostatnia grzeszna pokusa... A teraz pamiętam— wiem—rozumiem... Bóg dobry wszystko nam kiedyś powróci...

— „Wierzę, że Odkupiciel mój żyje,“—cytując słowa Hijoba zaczął Kanonik znowu.

— Pamiętam! — przerwał żywo chory, — i jakby w olśnieniu, wpatrzony przed siebie, przechyliwszy głowę w tył, na wysoką poręcz fotela, zaczął mówić najpierw dobitnie, potem wolniej i ciszej:

— Wierzę, że Odkupiciel mój żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi — i w ciele mojem będę oglądał Boga mego... Ujrzę Go własnymi oczyma,— ja — ten sam — nie inny... Schowana ta nadzieja w zanadrzu mojem...

Szept był coraz cichszy, głowa przechylała się w tył bezwładnie, oczy gasły. Kanonik przycisnął krucyfiks do warg bielejących, które poruszyły się raz jeszcze, dotykając nóg Chrystusowych — i zamilkły.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Lubię cię pokoiku...



Lubię cię pokoiku mój maleńki — jasny!  
Ze niejednych uśmiechów ty bywałeś świadkiem,  
I westchnień — i łez smutnych, otartych ukrad-

Lubię cię, kiedy rankiem zorza złoci drzewa,  
I gdzieś słowik w pobliżu moich okien śpiewa  
Choć słońca w całym blasku nie widzą te

Czasem wsunie się promyk światła zabłąkany —  
Na wiosnę. A gdy latem zachód się wystroi  
W purpury — to odbłaskiem pasowym jaśniej  
Mój pokoik! i cały jak w płomieniach stoi...  
Gasnące błyski słońca żegna — nie nadzieję!

Lubię tę ciszę jego, gdy o szarym zmroku,  
Zdała od gwaru i zdała od ludzkiego wzroku,  
Siedzę sama i głowę na dłoni opartą  
Nachylam zadumana nad księgą otwartą...

Boże! ileż w niej kartek, krwią serca pisanych!  
Jasných wspomnień młodości — chwil niezapo-  
mnianych —  
Dumnych porywów, natchnień i myśli precu-  
dnych  
Tęsknot za czemś lepszym — i nadziei złudnych...

Boże! wśród tego zmroku — niezmaconej ciszy,  
Zda się, że dusza nagle powstaje i słyszy  
Każdy dźwięk słodkiej pieśni, którą tu, nieśmiało  
Kiedyś... życie w zaraniu wiośnianem wygrało...

Kiedyś!.. ha! wszakże jeszcze dziś, w każdym  
[zakątku,

Brzmia echa przyczajone — i jak na początku  
Mej wiosny — orkiestra pragnień się odzywa  
Na skrzydłach pieśni, duszę gdzieś w zaświat  
[porywa!

Zielona palma liście nad mą głową slania...  
I choć jej braknie słońca gorętszych promieni,  
Choć tak samotna stoi — nie słyszę jej łkania —  
Ani westchnień za siostrą... Wiecznie się zieleni...

Nad klęcznikiem krzyż smutne roztworzył ra-  
[miona —

Lecz gdy Mu do stóp padnę — gdy tę Twarz  
[zobaczę,

Tak bolesną a cichą... widzę, że Bóg kona  
Bez skargi... że mój Chrystus, choć cierpi — nie  
[placze!

Więc i ja płakać nie śmiem, ni skarżyć się Panu —  
Choć nie jeden cierń rani, nie podniosę krzyku...  
Mnie tu dobrze i słodko — mam przystań kochaną  
U stóp Krzyża — w mym cichym, jasnym pokoiku!

Iry.



## POGADANKI PEDAGOGICZNE

*Narcyzy Żmichowskiej,*

w opracowaniu

*Wandy Żeleńskiej.*



XIII.

Ludzkość rozwija się jak idealny człowiek. — Dusza wyraża się w ludzkości przez religię, oświatę, naukę, obyczaje i przez ustawy. — Cywilizacja jest wyrazem stosunku ludzkości do dobra i zbawienia.]

Pamiętajmy, że ludzkość rozwija się jak idealny człowiek; ma swoje organa wyrażające potrzeby, ma ciało, duszę i życie zbiorowe, ma wszelkie objawy właściwe zbiorowemu życiu społeczeństwa.

Ciało uosobione jest w ludzkości przez rolnictwo, przemysł, handel, przez wynalazki, przez wszystkie ręce nad wygodą i dobrobytem ludzkim pracujące. Wszakże dziecko rozwija się ciałem przed umysłem? Tak samo dzieje się w ludzkości; widzimy, że dzieciństwo jej odpowiada naprzód najgrubszym potrzebom. Jakkolwiek nikt nie doszedł początków, opierając się jednak na wnioskach i domniemaniach, spostrzedz można, że życie rozwija się stopniowo, kolejno. I tak łowiectwo i rybołówstwo służą do zaspokojenia najpierwszych potrzeb człowieka; potem z większym przemysłem rozwija się pasterstwo, a kiedy ciało zaczyna już przyjmować umysłowe wrażenia, nastaje rolnictwo. Od czasu rozwinięcia się rolnictwa, historia zaczyna być pewnością. Najdawniejsze ludy były rolniczymi, poprzedzone rozwinięciem i cywilizacją ludów pasterskich. Łowiectwo, rybołówstwo, pasterstwo, są charakterystyką barbarzyńców albo dzikich; gdzie się rozwija rolnictwo, tam już można szukać pierwszego ukształcenia pomni-

ków. Tam już ludzkość zaczyna pracować dla historii. Za rolnictwem idzie handel, potem przemysł, to jest przerabianie plodów. W najwyższym ukształceniu swoim i uduchowieniu, przemysł tworzy sztuki piękne, stanowiące łączność między ciałem, między fizycznością, a stroną duchową i umysłowością społeczeństwa.

Sztuki piękne są zmysłowym sposobem na wywoływanie pięknych, umysłowych wrażeń; budzą one w zmysłach gotowość do przejęcia się umysłową pięknoscia. Ciało wyraża się w historii zwyczajami, dusza zasadą, pierwiastkiem wiary za nieomylną uznanej, a więc dogmatem, religią, potrzebą ładu we wszystkich ludzkich stosunkach, potrzebą *ustaw, praw*. A tak życie ludzkości objawia się przez administrację, przez instytucje religijne i ustawowe, oraz przez politykę.

W drugim, wyższym stopniu dusza ludzka wyraża się przez naukę, skierowaną do rozwinięcia władz; wyraża się przez moralność, przez obyczaje. Między zwyczajem a obyczajem panuje różnica wybitna. Zwyczaje bywają rozmaite, często zupełnie sobie przeciwne, zależne od kraju, od miejscowości. Co do obyczajów, dąży się, by były o ile możności ujednostajnione, są bowiem wyrażeniem stopnia moralności danego społeczeństwa. W pojęciu dogmatów, zwyczajów, pracy, mogą się ludzie różnić, ale powinni się wszyscy w pojęciu moralności jednocyć. Nigdzie nie lekceważą np. Dziesięciorga przykazań Bożkich; uznaje je każdy lud, który się otrząsnął z pierwotnej dzikości, nigdzie nie są tolerowanymi kradzież, ni zabójstwo. *Ustawy* warują bezpieczeństwo duszy, by mogła mieć spokój w obyczajach, zabezpieczoną wiedzę, oświecenie w dogmatach. Życie ludzkości objawia się przez politykę, administrację. Administracja również odpowiada składowym częściom człowieka, jako naukowa, religijna, ustawowa, zajmuje się też tem wszystkim, co się do ciała odnosi, jednak życie ludzkości nie doszło jeszcze do tego stopnia harmonii, żeby wszystko co jest w człowieku koniecznością, potrzebą, znalazło swój wyraz w administracji. Przy początkowym rozwoju społeczeństwa, w patryarchalnym rządzie, patriarchy stał na czele sług, pasterzy, będąc ich królem, kapłanem, prawodawcą, sędzią, nauczycielem, wszystkim. To pomieszenie czynności administracyjnych, wyjaśnia się w miarę, jak się osobistość człowieka ukształca. Mnożą się kategorie zajęć i obowiązków. Dotychczas jeszcze wiele kategorii brakuje, wiele władz oczekuje rozwinięcia, ale w ideale ludzkości zawsze trzeba mieć na uwadze przyszłość, ku której kroczy. Jakich to wieków potrzeba, by te wszystkie szczegóły i warunki ułożyły się w harmonijną całość! Trzeba pilnie uważać, żeby szczęśliwy, uprzywilejowany przemysł np., nie wziął góry nad obyczajami życia duchowego ludzkości, by szlachetnych uczuć nie stłumił materializm.

Od wieków ludzie się o to starają i nadtem pracują, by władzę świecką z duchowną pogodzić, dogmat z nauką, zabezpieczając swobodne dociekanie uczonym badaczom.

Jednolite państwa z rządem teokratycznym lub despotycznym usiłują naukę zagarnąć. Brakuje im koniecznych odgraniczeń między

władzą świecką a duchowną. Pytanie, czy nauka ma być w rękach rządu czy duchowieństwa? — nie wszędzie zostało rozstrzygniętem. Ci co chcą ją widzieć w ręku duchowieństwa, twierdzą, że stanowiąc stroną moralną człowieka, nauka powinna należeć do duchowieństwa, bo moralna strona z religii wypływa, rządowi zostawiają sprawy doczesne. Drudzy twierdzą, że przeciwnie, nauka jest niezależną od dogmatów, trzeba więc jej kierunek zostawić rządowi. Nauka powinna być osobną, samą w sobie, niezależną. Niektórzy pragną zupełnego oddzielenia moralności od religii.

Rolnictwo, handel, przemysł, sztuki piękne, dążą też do wyszczególnienia się, zostawiając przewagę religii, której pomnikami są kościoły i obrządki. Pomnikami administracji są fortece, więzienia, gmachy biurowe, banki, koleje żelazne, górnictwo, leśnictwo, szpitale. Oświata ma szkoły, akademie, muzea.

Dobroczynność będąca zasadą moralności, koniecznie powinna być wyzwoloną z pod zależności rządu, będąc pojmowaną jako obowiązek społeczeństwa, a nie jako łaska, stanie się z czasem instytucją narodową i państwową, niosąc pomoc ludziom wszystkich stanów, pogrążonym w nędzy, chorobie, ciemnocie. Dobroczynność powinna stanowić osobne ministerjum.

Administracja i instytucje odnoszące się do społecznego życia, stanowią o rozwoju sił narodu i kraju. Sądy, trybunały, to instytucje dla ustaw. Polityka będąca trzecim objawem życia ludzkości, obejmuje wszystko co stanowi całokształt państwa, najwyższą sumę praw ludzkości.

Długich wieków potrzeba będzie, by te wszystkie części i szczegóły w harmonię objąć i ustosunkować wzajemnie do siebie. W ciele taka mnogość organów, a każdy ma być zachowany; w duszy tyle władz, a każda musi być uszanowana; w ludzkości odbija się to samo, jak w zwierciadle.

Od polityki dopominamy się, by te wszystkie władze utrzymywała w harmonii, handel z przemysłem, fabryki ze sprzedażą. Jest to rzecz nader ważna i trudna! Nad Anglią wiśni np. miecz Damoklesa za to, że pozwoliła u siebie przemysłowi wygórować; lekkie zachwianie harmonii, stawiło chwilowo państwo nad brzegiem przepaści. Niech jej będą zamknięte targi Europy, a Anglia umiera z głodu! Dziś musiano zdobywać kraje, żeby mieć z kąd brać produkta i gdzie składać towary swoje. Wojna Amerykańska postawiła w Anglii kilkanaście milionów ludzi między życiem a śmiercią. Im doskonalszy bowiem, bardziej wycywilizowany organizm, tem mniejsze uchybienie psuje harmonię całości. Trzeba więc o tem pamiętać, żeby handel nie brał góry nad przemysłem, bo wtedy staje się instytucją nieuczciwą, sprowadzając zepsucie i osłabiając pracowitość społeczeństwa. Naród, który sam z siebie nic nie daje, dochodzi z konieczności do nadużyć i cudzej własności nie uszanuje; świadczą o tem Holandia i Portugalia; Hiszpania dochodziła do bogactw okrucieństwem, skończyła na upadku; ludność tam zmniejszyła się znacznie. Wenecja również tak potężna niegdyś w Europie, prowadziła cały handel żelazną ręką, nieprzebierając w środkach; dziś

pokutuje za dawne grzechy. Dowiedzionem jest, że niekorzystnym staje się zbyt lekki zarobek, przychodzący bez pracy. Rolnictwo wtedy swobodnie się rozwija, gdy go przemysł podpira. Nasz kraj rolniczy, biedny właśnie dlatego, że niema przemysłu. Rolnictwo wyda obfite plony, gdy się przemysł rozwinię. Wogóle ludzie najpracowitsi tam, gdzie gruntu mniej żyzne, przemysłem więcej zyskują niż najżyźniejsza rola dać może (porównajmy powiat Gostyński z Podolskim).

Trzeba też harmonizować w państwach i śledzić w historii, czy rolnictwo, przemysł, handel, nie biorą góry nad szlachetniejszymi objawami uczuć ludzkości, czy ciało nie bierze przewagi nad duszą? Dziś Europa tem zagrożona. Młodzieńcza Ameryka rozwija się fizycznie, wyteża wszystkie siły ku podbiciu i opanowaniu natury, przemysł tam jest na porządku dziennym, panuje ponad wszystkim, a chociaż dla dopięcia swoich celów posługuje się sztukami pięknymi, religią nawet, mniej to tam szkodzi, bo to pierwsza niejako praca tej części świata; ale w pełnoletniej Europie przewaga przemysłu nad inteligencją doprowadza do rozpaczliwych zastanawiających się i czujących głębiej. W ogóle, ucisk cięży, bo się opiera na sile egoizmu, a tu potrzeba harmonii. Chcąc doprowadzić do harmonii, trzeba ująć w karby władze i potrzeby duszy, by jedna drugiej nie przeszkadzała. Np. trzeba utrzymać dogmaty, pojęcia religijne, dziś takie różne, rozerwane, w całości, w poszanowaniu, bo gdzie niema dogmatu, tam niema kamienia węgielnego, tam budować nie można; gdzie dogmat zachwiany, niema wiary, niema społeczeństwa, jest tylko *współka społeczna*.

Najważniejszą pracą ludzkości być powinno uratowanie świętości, zabezpieczenie nauki, by ona nie służyła do celów postronnych, do polityki, ale żeby zachowała swoją niezależność, żeby mogła iść drogą sumienia, będąc uprzystępnioną *dla wszystkich*, nie tylko dla uprzywilejowanych. Tym sposobem jedynie stanie się ogólną, powszechną, i każdy pragnący kształcenia, będzie mógł korzystać z nauki, jak z powietrza, jak ze słońca!

Wszystkie instytucje łączące dobrobyt dla ciała do światła dla duszy, dadzą pole do rozwijania zdolności specjalnych. Każda jednostka, każda osobistość wybitna i samodzielna, znajdzie możność potęgowania władz i pole do pracy dla kraju, dla narodu, wychowana w solidarnie żyjącej rodzinie, spłacając wierne to wszystko, co się od niej ogółowi należy, a co jest objęte w ustawach zajmujących się stosunkami osób żyjących w społeczeństwie. Społeczeństwo, ni państwo nie powinny jednak nadużywać prawa opieki. Są ustawy cywilne, oznaczające wzajemny stosunek ludzi spokojnych, i ustawy kryminalne, jako bezpieczeństwo przeciw nadużyciom. Jest to zadanie, nad którym wieki pracują, by pojedynczemu człowiekowi wolność zabezpieczyć. Niedostatek środków do kształcenia służących, gubi jednostki i marnuje, a cięży grzechem na społeczeństwie, które za ten grzech odpokutować zawsze musi.

W instytucjach religijnych, zachowaną być powinna równowaga. Godność i powaga przynależą się kościołowi; ludzie strzedz się po-

winni zarówno fanatyzmu, jak religijnej obojętności.

Kodeks powinien mieć cechę moralności, uznając potrzebę prawa, oświaty, i będąc wyrazem moralnych potrzeb ludzkich; oświata powinna być religijną, a religia oświeconą.

Harmonią w administracji jest, aby każdy interes miał swój organ i był troskliwością otoczony i doznawał opieki, dopóki jej potrzebuje.

Opieka stoi u kolebki każdego narodu, za sprawą historycznej Opatrzności. Najpierw była w ręku teokracji, kapłanów. Potrzeba była, by stany oświecone przewodniczyły mniej oświeconym, żeby jednostka wzmogła się na siłach ku samodzielnemu życiu.

Feodalizm, szedł przodem w epoce walk, zabezpieczając byt, istnienie, opiekę — odwagą i siłą oręża swojego rycerstwa. Czas człowiekowi nadać prawa, gdy sam się o nie dopomina. Z tej chwili żądania należy korzystać. Wtedy też nastać może taka forma rządu, jaką sobie naród sam wybierze, — a zawsze najlepszą będzie ta, która zabezpieczy najwyższy rozwój moralny, gdy sfera działania jednostki z działaniem państwa najbardziej się jednoczy. Gdzie największe zbliżenie do wymarzonej harmonii, gdzie dobrobyt, moralność, oświata, równość się rozwija, tam najlepszy prawdy istniejącej do prawa Bożego stosunek, tam największa cywilizacja. Kto sobie potrafi dobrze z cywilizacji zdać sprawę, kto ją pojmie w tych wszystkich szczegółach i gałęziach, ten jest dopiero przysposobionym do czytania historii z prawdziwym pożytkiem i z rozkoszą. Pod względem moralnym, powołania mężczyzny i kobiety są sobie zupełnie równe, mimo odmiennych dróg i kierunków. Gdy rodzina jest podwaliną społeczeństwa, kobieta kapłanką domowego ogniska się staje, mając zdolność do doskonalenia się, będąc z natury wychowawczynią i nauczycielką, ona moralność niejako trzyma w ręku. Skoro mówimy, że za pośrednictwem kobiety szerzy się światło w rodzinie, to samo najlepiej już dowodzi, jak ważną sprawą jest jej wykształcenie. Kobieta życiem całym prawdy poszukuje. Zbyt często jednak rządzi się samym instynktem w wychowaniu dzieci, a w stosunkach z mężczyzną zazwyczaj góruje w niej uczucie i wyobraźnia nad rozumem. Dziś gdy nauka uznanem prawem i obowiązkiem, zdobywa kobieta coraz więcej gruntu, pracą i wartością osobistą, zdobywa wolność, *możność*, przez przybranych opiekunów odmawianą jej tak długo! Pracą i zarobkiem dochodzi do najwznioślejszych celów, bo pieniądze dają wolność. Pieniędźmi swojemi, pieniądze zarobionemi zmusi kiedyś kobieta Francuzów, do zmiany całych rozdziałów w sławnym kodeksie Napoleońskim. Pieniędźmi ugruntuje równość małżeńską i władzę macierzyńską; pieniądze, gdy chce, dziś już może sobie ukształcenie zapewnić. Za pieniądze *zarobione* dopiero świat stanie kobietom otworem, bo one przedstawiają pracę i rozum, w takim znaczeniu pojęte. Ale i w pojmowaniu pracy umysłowej zajść musi zasadnicza różnica. Kobieta będzie w nauce coraz mniej szukała *wrażeń*, a coraz więcej gruntownej *wiedzy*. Wiedzę ukocha dla prawdy wiekuiestej, jako

najpotężniejszy środek postępu i wyrobienia duszy; weźmie ją na głębokość podstawową, zasadniczą, pełną treści. Na takich zasadach wsparte i życie inaczej pojmować zacznie i moralność w niej świętsze znaczenie zyska. Powołanym zostanie do czynu duch kobiecy, o którym wyrazić się można słowami Zbawiciela, że nie umarł, ale spi, jak owa dzieweczka ewangeliczna, która powołaną została do życia, dotknięciem Chrystusowej ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ferdynand Hoesick.

## FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ  
(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Prócz Hanki poznał tu Chopin jeszcze i dwie inne znakomitości: Pixisa i Klengla. Pixisa odwiedził w Konserwatorium, którego ten był dyrektorem, a ponieważ w liście polecającym, jaki miał do niego od Blahetki, było życzenie, „żeby mu Konserwatorium pokazał“, nie obeszło się i bez tego <sup>1)</sup>. Słynny skrzypek był nadto kapelmistrzem miejscowego teatru, co Chopinowi ułatwiło poznanie i prażskiej świątyni Melpomeny, zwłaszcza, że Pixis przyjął go nadzwyczaj uprzejmie i bardzo serdecznie się nim zajął. „Pixis porzucił lekcye, zatrzymał mnie u siebie i wypytywał o wiele rzeczy. Spojrzawszy na biurko, widzę bilet wizytowy Klengla, pytam, czy może imiennik tego sławnego Drezdeńczyka jest w Pradze? Odpowiedział, że sam Klengel dopiero co przyjechał, i nie zastawszy go w domu, zostawił bilet. Ucieszyłem się, bom miał list do niego z Wiednia, o czem gdym wspomniał Pixisowi, prosił na po obiedzie do siebie, bo to była godzina, którą mu Klengel dla widzenia się wyznaczył. Jakoż razem zeszliśmy się (z Klenglem) na schodach Pixisowych. Słyszałem go grającego swoje „Fugi“ ze dwie godziny. Można powiedzieć, że to dalszy ciąg „Fug“ Bacha, jest ich 48 i tyleż „Kanonów.“ Jakaż to różnica od Czernego! Ładnie gra, lecz jabym pragnął czegoś lepszego (cicho). Ja nie grałem, bo mnie nie proszono. Klengel dał mi list *Allu Ornatisimo Signior Signior Cavaliere Mortalacchi, primo maestro della Capella Reale*, w którym, jak mi powiedział, prosi go, żeby mi pokazał całe *Wesen* muzyczne w Dreźnie i zaprowadził do Panny Pechwell, jego uczennicy, najpierwszej według jego przekonania tamtejszej fortepianistki. Czudy był bardzo. Przed wyjazdem bawiłem u niego ze dwie godziny. Jedzie do Wiednia i Włoch, mieliśmy o czem mówić. Śliczna znajomość! Cenię ją więcej nad Czernego biedaka (cicho)“ <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> W liście do Wojciechowskiego (z Warszawy d. 3-go października 1829-go r.) pisze Chopin: „Gdybym jechał do Wiednia, możebym obrał drogę na Drezno i Pragę dla widzenia jeszcze raz Klengla, Konserwatorium prażskiego“ i t. p.

<sup>2)</sup> W liście do Wojciechowskiego pisze Chopin: „Ze wszystkich znajomości artystycznych najwięcej mnie ucie-

Po trzech dniach pobytu w Pradze <sup>1)</sup>, podczas których Fryderyk, jak powiada, ani „się obejrzał, tak mu czas zleciał“, wyjechano d. 23-go sierpnia *separatwagenem* o godz. 12-ej w południe w stronę Toeplitz, gdzie też zawitano wieczorem. Znalazłszy nazajutrz w *Badeliste* nazwisko Ludwika Łempickiego, udał się Chopin niezwłocznie do niego „powiedzieć mu dzień dobry.“ Przy tej okazji dowiedział się, że w Toeplitz bawi w tej chwili bardzo wielu Polaków, w tej liczbie stary Pruszek, Fryderyk Koehler, Kretkowski z Kamionny, że jadają wszyscy razem *im deutschen Saale*.

Po rozstaniu się z Łempickim wrócił Fryderyk do swoich towarzyszków i pospołu z nimi spędził dzień cały na zwiedzaniu Toeplitz i jego okolic. „Chodziliśmy wszędzie, byliśmy także w Dux, w pałacu Wallensteinów. Jest tam kawałek czaszki tego wielkiego wodza, halabarda, którą był zabity, i wiele innych pamiątek.“ Podczas obiadu widział się z bawiącymi w Toeplitz Polakami, w tej liczbie ze starym Prusakiem.

Wieczorem Celiński, Hube i Maciejowski poszli do teatru, Chopin zaś, wyfraczony, w białych rękawiczkach „z ostatniego w Wiedniu wystąpienia“, udał się z Łempickim, który go koniecznie pragnął wprowadzić do księżstwa Clary, na raut do nich. „Jest to znaczna, prawie udzielna famliia, ogromnie dobra i samo miasto Toeplitz posiadająca. Księżna Clary jest siostrą Choteka, namiestnika cesarskiego. Wehodzimy; *kleine aber honette Compagnie*. Jakiś książę austryjacki, jakiś generał, którego nazwiska zapomniałem, jakiś angielski kapitan okrętowy, kilku młodych elegantów, podobno także książąt austryackich, i jeden generał saski, nazwiskiem Leiser, strasznie orderowy i z kresą na twarzy. Po herbacie, przed którą dużo z samym księciem Clary rozmawiałem, matka jego prosiła mnie, ażebym *raczył* usiąść do fortepianu (fortepian dobry Graffa). *Raczyłem*, ale z mojej strony prosiłem także, ażeby *raczyli* dać mi temat do improwizacji. Zaraz tedy pomiędzy pięcią żeńską, obsiadła dokoła dużego stołu i haftująca, strykująca, dziergająca, gruchnęło: *un thème, un thème!* Trzy nadobne księżniczki zmawiały się, aż jedna, odwoławszy się do pana Fritsche (ilem zauważył guwernera młodego Clary), a ten za powszechną zgodą dał mi temat z „Mojżesza“ Rossiniego <sup>2)</sup>. Improwizowałem, i jakoś tak szczęśliwie, że generał Leiser długo potem ze mną rozmawiał, a dowiedziawszy się, że jadę do Drezna, natychmiast napisał do barona von Friesen list następujący: „*Monsieur Frédéric Chopin est recommandé de la part du Général Leiser à Monsieur le Baron de Friesen, Maître de Cérémonie de S. M. le Roi de Saxe, pour lui être utile pendant son séjour à Dresde, et de lui pro-*

szuł Klengel, którego poznałem u Pixisa. Grał mi swoje „Fugi...“ Jakaż to różnica od Czernego!“

<sup>1)</sup> Z tego pobytu w Pradze notuje Chopin w liście do rodziców taki zabawny epizod: „Mam zawsze jakieś zajęcia i dlatego w wigilię wyjazdu wychodzę z gabinetu, niezapięty wpadam do innej stancyi i dopiero na środku, wesoly jakiś wojażer powiada mi ze zdziwieniem: *Guten Morgen!* — Bitte um Verzeihung! i drapnąłem w nogi. Stancye były bowiem bardzo do siebie podobne.“

<sup>2)</sup> Fritsche—powiada Karasowski—był autorem kilku udatnych komedyi, grywanych niegdys z powodzeniem w Wiedniu, Pradze i Dreźnie.

*curer la connaissance de plusieurs de nos premiers artistes.*“ Pod spodem po niemiecku: „*Herr Chopin ist selbst einer der vorzüglichsten Pianospiele, die ich bis jetzt kenne.*“ Wypis słowo w słowo z biletu generała Leisera, pisanego ołówkiem i nie zapieczętowanego. Grałem tego wieczoru cztery razy, a księżniczki chciały, ażebym jeszcze został w Toeplitcach i nazajutrz był u nich na obiedzie <sup>1)</sup>. Łempicki nawet podejmował się zabrać mię z sobą do Warszawy, bylebym dłużej zabawił. Lecz nie chcąc opuszczać kolegów, z wielkiem podziękowaniem odmówiłem.“

Nazajutrz, dnia 25-go sierpnia, raniutko o 5-ej, najętym za dwa talary furmanem, wyruszono z Toeplitz. O 4-ej po południu zawitano do Drezna. Pierwszymi ludźmi, których tu spotkał w hotelu, gdzie się zatrzymał z towarzyszkami, byli Łabęccy i Lewiński. Z nimi też, jako też i z innymi ziolkami, których wciąż spotykał w stolicy Saskiej, zwiedzał miasto i okolice. Między innymi spotkał tu także panią Pruszkową z synem i córką. „Pani Pruszkowa, Olesia i Kostuś są w Dreźnie. Na wyjeźdźnym spotkałem ich. Co za radość: pan Frycek! pan Frycek! wołali. Tak mi było przyjemnie, że gdybym był sam, pewno byłbym został.“ Samo Dreźnie ogromnie mu się podobało, a podziwiając jego „mnóztwo piękności“, jak taras Brühlowski, Grosse Garten, Zwinger, Grüne Gewölbe (w którym tyle można oglądać pamiątek polskich, zwłaszcza po królu Janie III-m Sobieskim), najbardziej był zachwycony wspaniałą galerją obrazów z Rafaelowską Madonną Sykstyńską <sup>2)</sup>. Któregoś dnia zrobił w liczniejszym towarzystwie wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, która mu się niemięj podobała... Wieczory spędzał w teatrze, głównie na operze. Była to jednak opera niemiecka, włoska bowiem dopiero za parę dni miała swe przedstawienia rozpocząć. Z wrażeń, odniesionych w teatrze drezdeńskim, najsilniejsze było to, jakiego doznał w czasie pierwszej repertuaru „Fausta“ Goethego w układzie scenicznym Tiecka. „Od wpół do 5-ej stać trzeba było przed teatrem. Widowisko trwało od 6-ej do 11-ej. Devrient <sup>3)</sup>, któregom już widział w Berlinie, grał Fausta. Dzisiaj właśnie—26-go sierpnia—obchodzono tu osmdziesiątą rocznicę życia Goethego. Okropna, ale wielka fantazyja. W czasie antraktów grano wyjątki z opery tego imienia Spohra...“

Reszta czasu schodziła teraz Fryderykowi w Dreźnie, na oddawaniu listów polecających, na wizytach u wybitniejszych przedstawicieli muzyki miejscowej. Pierwszym, którego odwiedził, był baron Friesen, do którego miał ów bilet od generała Leisera. *Maître de cérémonie*, baron de Friesen, przyjął mię grzecz-

<sup>1)</sup> Dwie z księżniczek Clary wyszły z czasem za mąż za książąt Bogusława i Wilhelma Radziwiłłów. W liście do Wojciechowskiego pisze Chopin: „Sam Pruszek w Toeplitz, gdzie go też widział. Toeplitz śliczne, byłem tam jeden dzień i zaraz na wieczorze u księżstwa Clary.“

<sup>2)</sup> W liście do rodziców z Drezna z dnia 26-go sierpnia r. 1829-go pisze Chopin: „Widziałem tutejszą galerję obrazów, wystawę płodów, znaczniejsze ogrody i t. d.“ Do Wojciechowskiego o tym pobycie w Dreźnie pisał w te słowa: „Byliśmy w Szwajcaryi Saskiej. Piękności mnóztwo... Galeryja obrazów cudna!“

<sup>3)</sup> Karol Devrient, synowiec wielkiego Ludwika Devrienta.



nie; pytał się, gdzie stoję; oświadczył, iż żałuje, że szambelana, mającego zwierzchność nad kapelą niema teraz w Dreźnie, ale że się dowie kto go zastępuje, i że jakkolwiek pobyt mój krótki w tem mieście, jednak dołoży wszelkich starań, aby mógł mi się dziś w czemkolwiek przysłużyć. Ceremonii, ukłonnów pełno. I na tych ceremoniach i obietnicach skończyło się wszystko... Nierównie więcej przyszło Chopinowi z odwiedzin u Morlacchiego. *Il ornatisimo primo maestro della Capella reale* przyjął go bardzo grzecznie, a usłyszawszy go grającego, takiej dłań nabral estymy, iż obiecując zaprowadzić go nazajutrz do panny Pechwell, przyrzekł, że sam po niego do mieszkania jego wstąpi, co równało się olbrzymiemu wyróżnieniu. Zdając zeń sobie sprawę, pisał o tem Chopin do domu: „Czekam na Morlacchiego, z nim pójdę do p. Pechwell. Nie ja do niego, lecz on do mnie przychodzi! Ha, ha, ha!“ Z poznania się z panną Pechwell bardzo był zadowolony. Gdy zasiadła do fortepianu, przekonał się, iż wszystko, co mu o niej, jako o swej najlepszej uczennicy i najwybitniejszej w Dreźnie pianistce mówił Klengel, wcale nie było przesadą. „Dobrze gra“<sup>1)</sup>. Wykształcona wszechstronnie, wogóle zrobiła na nim jaknajlepsze wrażenie.

W ten sposób upłynął Chopinowi nad Elbą cały tydzień. Spędził go bardzo przyjemnie, a zajęty od rana do wieczora, „nie mając czasu“, do stracenia, zarówno pod względem zdrowia jak i humoru czuł się doskonale. Odbiciem tego pogodnego nastroju był także list jego do rodziców, dnia 27 sierpnia do Warszawy przez jednego z jadących tam znajomych wysłany, a zaadresowany, jak następuje: „Wielmożnemu Imię Państwu Chopinostwu, profesorstwu w Warszawie, a memu kochanemu Rodzicielstwu na ten raz od bawiącego w Dreźnie syna.“

Po tygodniu pobytu nad Elbą opuścił Chopin wraz ze swą „wesolą kompanią“ stolicę Saska, żałując tylko, iż mu właśnie „operę włoską z przed nosa wzięto.“ „Tego samego dnia rano wyjechałem, gdy miano grać *Crociatto in Egitto* (Meyerbeera); tyłkom się tem pocieszał, żem ją już w Wiedniu słyszał.“

We Wrocławiu, dokąd dojechało bez żadnych szczególnych przygód po drodze, a gdzie zabawiono „dni parę“, rozstał się Fryderyk ze swoimi towarzyszami podróży: oni puścili się prosto do Warszawy, on zaś udał się jeszcze w Poznańskie, do Strzyżewa.

„Zabawiwszy we Wrocławiu dni parę — pisał na wyjeździe z Dreźnie — dopiero ztamtąd do domu. Tak mi się spieszy do Was, najukochańsi Rodzice, żebym nie chciał do pp. Wiesiołowskich wstępować. Dopiero opowiem historye, awantury, ale ładne, ładne!“

Okazuje się z tego, że już tym razem do Strzyżewa jechał niechętnie, że mu się cniło za domem. Mimo to, po zastanowieniu się we Wrocławiu, uznał, że nie jechać do Wiesiołowskich, skoro im to obiecał, byłoby nie-

grzecznie, a że w ogóle liczył się z rodziną Skarbków, na której względach niemało mu zależało, więc ostatecznie zboczył do Strzyżewa. Wstąpiwszy tu, i będąc już raz w tych stronach, „wstąpił“ przy sposobności także i do pobliskiego Antonina, do księcia Antoniego Radziwiłła. Przyjęty z tą życzliwością, z jaką go tu zawsze witano, gdy odjeżdżał, musiał przyrzec, że znów w najbliższej przyszłości odwiedzi dom książęcy. Oboje książęstwo „bardzo grzecznie zapraszali go do Berlina, dając nawet mieszkanie we własnym pałacu“, a przytem wyrażając życzenie, by jednej z księżniczek udzielił szeregu lekcji gry na fortepianie, on jednak, choć przyrzekł, że z tak zaszczytnego zaproszenia skorzystać nie omieszką, w duszy marzył o nieruszaniu się z Warszawy, o spokojnej pracy kompozytorskiej, do której już zaczynał tęsknić coraz bardziej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z listów do „Bluszczu.“



Londyn w Sierpniu.

Wielkomijski gwar przycichł równocześnie z ostatnim aktem obchodu koronacyjnego. Król i książę Walii pierwsi dali hasło do odwrotu, pozostawiając nawet podejmowanie szacha, Musafier-Ed-dina, młodemu księciu Connaught, któremu niemało kłopotu przysparzał gość, mieniający się „szachem szachów“ i „królem królów.“ Gazety miejscowe pełne są krotocwilnych opisów z pobytu perskiego władcy, temu zaś nie spieszo było z opuszczeniem wielkobrańskiejszej stolicy.

Jednym z ostatnich, koronacyjnych gości, razem ze swym, dobrze zapakowanym, rodzinnym „bogiem“ i ze swiatą, liczącą 150-u ludzi, był maharadża Jaipuru. Ciekawe są, do prawdy, pojęcia i rozwój umysłowy owych egzotycznych ludzi.

I tak — król Jaipuru, pragnąc jak najdłużej przewlec swój pobyt w Londynie, postanowił odjechać w piątek, uznawszy dzień ten za termin dla siebie najdalszy. Stosowne rozporządzenia były już poczynione, gdy wtem nadworny astrolog wystąpił z opozycją, nagłąc do podróży we czwartek, albowiem odkrył pomiędzy gwiazdami wrogą konstelację, wobec której niebezpiecznie byłoby puszczać się w drogę. Co tu począć? Wypadek był wielce nieprzyjemny, bo maharadża ułożył sobie bardzo wesoły i zajmujący plan dnia na czwartek. Na Wschodzie jednak różne istnieją sposoby zaradzenia podobnie przykłej sytuacji.

Aby uniknąć niemiłej kolizji z gwiazdami, podróż została formalnie ogłoszoną i rozpoczętą we czwartek, to jest, we czwartek został wysłany do Duwru marszałek podróży, z częścią kufrów i świty. Upewniony przez astrologa, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, odprawiwszy nadto, gorące modły przed rodzinnym „bogiem“, król Jaipuru doskonale zabawił się we czwartek w Londynie i jak był sobie pierwotnie uplanował, do Duwru podążył w piątek.

Zaraz po przybyciu do portu, wielki maharadża sam czuwał nad wladowaniem na okręt trzydziestu ton swego bagażu, rozdzielonego na bagaż „świecki“ i „duchowny.“ Ludziom z załogi okrętowej i tragarzom portowym wolno było jedynie przenosić bagaż „świecki“, „duchowny“ dźwigali członkowie świty maharadży.

Bóg rodzinny zapakowany był w mocną drewnianą skrzynię, opatrzoną tajemniczymi indyjskimi zamkami, pomiędzy temi zaś widniał napis: „*With care!*“ (ostrożnie!) Znaczną część wody, przywiezionej ze świętej rzeki Gangesu, zabrano też z powrotem. Znajdowała się ona w dwunastu kosztownych naczyniach, zapakowanych w oddzielną skrzynię. Olbrzymie pakunki maharadży zawierały: wielką ilość zabawek dziecięcych z rozmaitemi nakręcanymi mechanizmami, drewniane konie na biegunach, rowery, broń najnowszych systemów, wyroby złote i srebrne, wreszcie, jedną maszynę do szycia, dziwo, które król Jaipuru po raz pierwszy w życiu swem oglądał.

Niemniej trudno rozstawać się z Londynem było królowi murzynów, Lewanika. Ten atoli starał się usilniej przejmować europejskimi zwyczajami i gdyby nie zakup śmiesznie wielkiej liczby cylindrowych kapeluszy, wyjazd jego niczem szczególnem nie zwracałby na siebie uwagi. W jakich celach potrzeba było królowi murzynów paruset cylindrów? Czy je wiozł jako dary, czy może w celach cywilizacyjnych?

Do najprzyjemniejszych wspomnień z uroczystości koronacyjnych należy zaiste obiad dla biednych, wydany kosztem króla, obiad na pół miliona ludzi! Łatwo to powiedzieć, pół miliona biesiadników, ale wyobraźmy sobie, że na sam plumpudding spotrzebowano 250 tysięcy jaj! a gdzie jeszcze tarty chleb, mąka, rodzynki, cukier, tłuszcze, arak i t. d., i to dopiero jeden pudding!

Biedni podejmowani byli we wszystkich stronach miasta; w północnej i południowej, wschodniej i zachodniej, w White-Chapel, i w West-End, w okolicach doków i w City. Tu w ogromnych, prowizorycznie postawionych halach, tam, w parku, pod rozpiętymi namiotami; jak się dało.

Książę i księżna Walii, książę Connaught, także z żoną i parę jeszcze książąt z księżniczkami, w otwartych powozach jeździli od jednego „*king's dinner*“ do drugiego, zostawiając wszędzie dobre słowo i uśmiechy.

W parku Fulham, w oddalonej południowo-zachodniej części Londynu, najliczniejsi zasiedli biesiadnicy. W jednym ogrodzie zasiadło do stołów czternaście tysięcy osób!

Park Fulham otoczony jest wysokim murem i przy wejściu stali policyanci oraz kilku obywateli, mających pilnować porządku podczas uczyty, i wpuszczali tych, którzy mieli karty. Rozumie się, że przy wejściu było bardzo tłumno, lecz porządek panował wzorowy. Nieopodal od wejścia, wewnątrz parku, dzieci, malcy i dziewczątka z dzielnicy Fulham, czekały, aby powitać następcę tronu i przyszłą królowę.

Po długiej, spacerowej alei prowadzącej do Tamizy, przechadzali się goście majora Davies, wybranego na burmistrza dzielnicy Ful-

<sup>1)</sup> Urodzona dnia 6-go marca 1790-go roku Antonina Pechwell, zameżna Pessadori, od 10-go roku życia występowała z wielkim powodzeniem, a później, jako słynna fortepianistka, była jedną z ozdób towarzystwa i świata artystycznego w Dreźnie.

ham, pod cieniem drzew dziesięć biało ubra-nych, ładniutkich *misses* powtarzało pieśń, przygotowaną na powitanie młodej, książęcej pary. Pod rozpiętymi namiotami, przy nie-skończeniu długich, nakrytych stołach, bez zgiełku i zbytniego pośpiechu, zajmowano miejsca. Karty z zaproszeniem opatrzone by-ły literami i numerami, odpowiedniami do li-ter i numerów na stołach i namiotach, każdy więc z łatwością znajdował swoje miejsce.

Biesiadnicy, wyczekujący na „*king's dinner*“ dosyć różnie wyglądali między sobą. Jedni rzeczywiście wynędzniali i głodni, inni dość zamożnie.

Trudno przypuścić nawet, by jedna dziel-nica Fulham, mieściła czternaście tysięcy ubo-gich, znać więc, udzielano zaproszeń wszyst-kiemu, którzy mieli ochotę spożyć obiad na koszt króla.

I tak zasiedli obok siebie: starcy z długie-mi brodami, staruszki trzęsące się, bezzębne, obok silnych młodych niewiast i robotników o szerokich barach, i muskularnych, herkule-sowych rękach; młode, przedwcześnie zwię-dłe, przygarbione dziewczęta, pracujące w fa-brykach, obok matek, karmiących niemowlęta (bo i tych na „królewskim obiedzie“ nie bra-ło), tu i tam jakiś niestary jeszcze człowiek, w wyszarzanym, lecz wyczyszczonym surdu-cie, w cylindrze, z bladą, okropnie mizerną twarzą, — może wykolejony jaki... a pewnie najgłodniejszy.

Obiad miał być podany o godzinie 1-ej i czekano tylko na przybycie księcia Walii i jego małżonki. Byli tacy, którzy przed 12-tą jeszcze zajęli swoje miejsca. Ten palił fajkę, ów rozmawiał z sąsiadem, matki na kolanach kołysały niemowlęta, dziewczęta przyciszonym głosem gwarzyły z młodymi robotnikami, a wszyscy wydawali się ludźmi jak najlepiej wychowanymi, pełnymi poszanowania dla wszystkiego, co ich otaczało. Nawet malcy ze szkółek zachowywali się jak na przyzwoi-tych „gości“ przystało. Nikt nie dotykał ni-czego na stole, nikt nie sięgał po chleb, któ-rego cały bochenek leżał przed każdym na-kryciem, ani po zimne mięsiwo, ubrane pi-klami i na olbrzymich półmiskach porozsta-wiane od końca do końca stołów, — nikt na-wet nie brał do ręki kubka z wizerunkiem pary królewskiej, choć ten, razem z całym nakryciem, wolno było każdemu zabrać z sobą.

Punktualnie o 1-ej ukazali się księstwo Wa-lii. Wysiedli z powozu przed parkiem i wpro-wadzeni przez majora, witani przez malców ze szkółek, przez dziewczęta w bieli, spiewa-jące hymn narodowy, przechodzili od namiotu do namiotu, a wszyscy z miejsc powsta-wali. Niektórzy zaś, dalej siedzący, powcho-dzili na ławki, by lepiej widzieć mogli doro-dną parę z królewskiego domu. Następca tro-nu zatrzymywał się kilkakrotnie i przema-wiał w imieniu ojca swego. Starzy i młodzi, kobiety i dzieci klaskali w ręce, powiewali kapeluszkami i chustkami, dziękując za słowo serdeczne.

Po odjeździe książąt rozpoczęła się biesia-da. Siedzący przy stole ani się spostrzegli, kiedy postawiono przed nimi talerze z por-cyami roastbeefu, tak zręcznie pełniły służbę przy stołach młode *misses*, córki obywateli z Fulham. Po tradycyjalnym plumpuddingu,

rozdano sery i blaszane pudeleczka z cukier-kami. „Menu“ uczty było wprawdzie skro-mne, ale jadła i napojów była obfitość nie-słychana, tak, że każdy mógł nietylko najeść się do syta, lecz i część jadła zabrać z sobą.

Nie był to zapewne żaden czyn doniosłości socyalnej, tego rodzaju kwestye nie mogą i nie powinny być rozstrzygane „obiadem królewskim;“ to, co tego dnia obchodzono we wszystkich dzielnicach Londynu i co ob-chodzono w Fulham, było tylko ludowem świętem, ale zaiste pięknem świętem. Niech tam sobie malkontenci prawią, co im się po-doba, ubodzy Londynu doznali rzadkiej w ży-ciu swem uciechy. Radowała ich obfita bie-siada w parku; radowała muzyka, która dla nich grała; radowało nakrycie, które zabrać mogli; radował widok księcia, następcy tronu, który stał przed nimi z odkrytą głową i nie nakrył jej ani na chwilę, aż dopiero w po-wozie, za bramami parku.

Siedzieli tam wszyscy, przejęci jakimś dzi-wnem poszanowaniem, jakąś czcią nieokreśl-o-ną... przed czem? Czy przed temi dobremi panienkami, które tak gorliwie im służyły? czy przed królem, który pół miliona ubogich tak suto ugościł? czy przed następcą tronu i piękną małżonką jego? Nie wiem... i oni pewno jasno nie wiedzieli. Ale to wiem, że każdy, choćby i najbardziej daleki, obecny temu otoczeniu, przejęty musiał być podziwem i głębokiem poszanowaniem wobec wprost idealnej karności i poczucia przyzwoitości je-dnych, a uprzedzającej, niestrudzonej uprzej-mości i organizacyjnego talentu drugich.

Pomiędzy tymi „drugimi“ pierwsze miejsce należy się kobietom. Angielki wogóle nie po-siadają wprawdzie kokieteryjnego wdzięku Paryżanek, ich smaku, genialności w obmy-sleniu stroju, lecz posiadają za to jakąś dzi-wnie wytworną, spokojną dobroć, ujmującą a nigdy nie wybuchliwą serdeczność, obok pewnej siły, na wyższej kulturze opartej.

Bywa, iż z zestawienia opisów, opowiadań, wiadomości czerpanych z gazet, wyrabiamy sobie z oddalenia wyobrażenie o jakiejś miej-scowości, czy jakimś narodzie, niezupełnie zgodne z tem, do jakiego dochodzimy po bliższej i naocznej obserwacji.

Nie chcę bawić się tutaj w szczegółowy rozbiór dobrych i złych stron rasy anglo-sa-kskońskiej, lecz przyznam otwarcie, iż po dłuż-szym pobycie w olbrzymiej stolicy brytań-skiej, opadło ze mnie wiele uprzedzeń, żywio-nych do „sztywnych“ Anglików, uprzedzeń gorąco podsycanych przez ogół prasy na kon-tynencie.

Wielka powściągliwość w zachowaniu się, brak manifestującej się serdeczności i pano-wanie nad sobą, jakie cechują Anglika, muszą sprawiać wrażenie obojętnego chłodu; Anglik, zwłaszcza w interesie, pozostaje zawsze zimny, nie robi czułych oczu do nikogo, lecz nigdy nie wyzyska nieświadomości cudzoziemca, ni-gdy (rozumie się z małemi wyjątkami, albo-wiem żadne społeczeństwo nie składa się z wy-branych ideałów) nie szuka krętych dróg i podejścia. Jemu wystarczają zdobyte na wie-lu punktach przewaga i przeświadczenie o wła-snej sile.

W codziennem życiu Anglika uczucia wszel-kie, miłość czy nienawiść, zdają się by za-

chowane pod jakimś ciężkiem, trudnem do przebicia wiekiem, nie zapominajmy jednak, że i oni umieją dać się unieść bezinteresowne-mu porywowi. Dość przypomnieć entuzya-tyczne przyjęcie Garibaldiego, które pra-wie graniczyło z szałem.

Zewnętrzny chłód Anglików można było zauważyć dobrze w dzień, kiedy się rozniosła wiadomość o chorobie króla i odroczeniu ko-ronacyi na czas nieograniczony. Wiadomość przebiegła miasto od końca do końca w je-dnem mgnieniu oka, i wszędzie, czy to w prze-pelnionych restauracyach, czy w biurach, na placach i ulicach, wszyscy mówili o niej, ale cicho, spokojnie, jakby o rzeczy, która w ni-czem nie maści porządku dziennego.

Ruch w mieście imponujący. Zwiedzałem niejedną wystawę międzynarodową w pierw-szorzędných stolicach Europy i podobnego ruchu jak w City, nigdzie nie widziałem.

Ten ruch olbrzymi, nadzwyczajny, to wrze-nie, kipienie życia milionowych tłumów, w ze-stawieniu z zewnętrznym chłodem jednostki, to najejciekawsza charakterystyka angielskiego narodu.

Zetes.



## Kronika działalności kobiecej.



— Na jubileuszu 25-letniego istnienia, ob-chodzonym w dniu 30-ym z. m. przez kolej Nadwiślańską, wiele osób w rozmaitych wy-działach święciło też jubileusz pozostawiania w służbie od dnia założenia kolei. Pośród wielu takich jubilatów, w skromnym oddziale służby drogowej, wyliczono między innymi, nazwiska czterech kobiet. Temi są: Florentyna Borkowska, Anna Hoser, Wiktorya Osiń-ska i Julianna Szczygieł.

— W Stanach Zjednoczonych założone zo-stało nowe Stowarzyszenie kobiet, mające na celu ochronę nieletnich pracowników w fabry-kach amerykańskich. Działalność swoją roz-łożyło na lat 20, t. j. przez tyle lat członko-wie Stowarzyszenia pracować mają nad unor-mowaniem pracy dzieci w fabrykach i uzy-skać surowe prawa, broniące dzieci od wyzysku. Pani Georgia Granger miała nadzwyc-zaj zajmujący i wzruszający odczyt, w któ-rym barwnem, gorącym słowem odmalowała los biednych dziewczątek, pracujących w prze-dalnicach bawełny. Po odczycie tym jak deszcz posypały się składki i zapisy człon-ków do nowego Stowarzyszenia.

Z. S.

— Na międzynarodowym kongresie kobiet, który się odbywał w Waszyngtonie, uchwalono popierać we wszystkich krajach agitację za domaganiem się prawa głosu dla kobiet. W tym celu utworzył się w Waszyngtonie komitet, który ma opracować plan działania. Przewodniczącą jest pani Zuzanna Anthony, znana rzeczniczka praw kobiet w Ameryce. W lecie r. 1904-go ma być urządzony w Ber-linie kongres kobiet, popierających prawa nie-wiast do głosowania w instytucjach państwo-wych i publicznych.

— Kobiety, wytwarzające nowe pola pra-cy, osiągają lepsze rezultaty od tych, które cisną się przebojem na drogi, uprawiane już przez mężczyzn, gdzie zbytnia podaź powo-duje obniżenie zarobków. Między innymi stwierdziła to własnym przykładem miss Bul-liamy, młoda Angielka; rysuje ona niezwykle wzory do wyrobów ceramicznych. Oryginal-ność rysunków polega na komicznej ich brzy-

docie i dziwaczności; widzimy zatem potworne sowy, nietoperze, ropuchy, żaby i tym podobne karykatury świata zwierzęcego. Wrodzony gust miss Bulliamy zyskał jej powodzenie, a nawet poparcie królowej Alexandry. Monarchini zwiędzała niedawno pracownię miss B. w Kensington.

— Mało wyzyskaną niwę uprawia także pani Egerton Coghill w Cork (Irlandya). Dotychczas hodowano fiołki przeważnie na południu; pani Coghill przekonała się, że znośny klimat północy i zasadziła niemi kilkanaście akrów; uprawia przeważnie dwa gatunki „Księżę Wali” i „Dievonensis.” Flance, których wychodzi 16,000 na jeden akr, kosztują 70—80 fr. za tysiąc, zasadzane są w lutym i marcu. Zimą, gdy mało jest fiołków, tuzin krzaków dochodzi czasem do ceny 30 franków, a jednak podaż nie może pokryć zapotrzebowań, tak, że hodowcy fiołków mogą liczyć na duże zyski.

— W gimnazjum akademickim w Wiedniu kobiety-kandydatki, które w tym roku stały się do egzaminów, składały je daleko gorzej, niż lat poprzednich. Zapisano się 20 kobiet, 6 cofnęło się przed egzaminem, z pozostałych 14-tu, sześć tylko złożyło egzamin, ani jedna z odznaczeniem. Natomiast w gimnazjum żeńskim w Pradze, na 10 kandydatek, pięć zdało egzamin ostateczny, pozostałe pięć ukończyło zakład z odznaczeniem.

— Saksoński związek kobiet starał się o uzyskanie wstępu dla dziewcząt do męskich szkół realnych wyższych w Lipsku i Dreźnie. Nadburmistrz tego ostatniego miasta, Bentler, stawiał temu opór energiczny, dowodząc, że kobieta nie może połączyć zalet, koniecznych dla pełnienia jej właściwych obowiązków, z wykształceniem wyższem, i że rodzina upada skutkiem nadmiernego kształcenia się kobiet. Starania pozostały bezskuteczne w obu miastach.

— Szkołę cyzelowania na miedzi i srebro, pierwszą w tym zakresie, otworzyła miss Krystyna Connell w Londynie. Nauka trwa przez jeden rok, poczem zdolniejsze jednostki mogą zarabiać do 200 funtów szterlingów rocznie. Szkoła jest otwarta wyłącznie dla dziewcząt.

n.

## Na półkach księgarskich.



— Władysław Grzymałowski: „Dzieje Kościoła Powszechnego w krótkim zarysie.” Warszawa, 1902. Skład główny w księgarni Br. Brzozowskiego. Str. 157. Cena kop. 60.

W dziełku swoim autor zawarł dzieje Kościoła Katolickiego, nie zaniedbując żadnego ważnego faktu, nie przeciążając go jednocześnie zbytecznymi szczegółami podrzędnej wagi, co zarówno jak przystępny styl i wykład, przyczynią się bez wątpienia w znacznej mierze do szerokiego rozpowszechnienia tej pożytecznej i ożywionej zaczął myślą książki.

— Dr. Stanisław Galecki: „Wykład popularny o suchotach płucnych: istota choroby i środki zapobiegawcze.”— Z biegiem czasu wytworzyło się o gruźlicy mnóstwo błędnych pojęć i przesądów, utrudniających lekarzom walkę z tym możliwym nieprzyjacielem ludzkości. Rozpowszechnione mniemanie o nieuleczalności suchot płucnych budzi rozpacz w dotkniętych niemi chorych, lub też, co gorsza, jest przyczyną lekkomyślnego traktowania zbyt licznych jakoby zarządzeń lekarza; dziełko niniejsze ma na celu danie ogółowi nielekarskiemu zdrowych pojęć o istocie gruźlicy, o zabezpieczeniu się przed nią i o zasadach leczenia, a także, aby, szerząc dobrą nowinę o uleczalności suchot płucnych, było otuchą dla strwożonych, dla chorych pociechą, a dla lekkomyślnych przestroga. Zaczyna myśl podjętej przez autora pracy, oraz zewnętrzne zalety dziełka, przyczynić się powinny do jego powodzenia.

— Włta: „Dwóm Bogom.” Powieść. Warszawa, 1902. Jan Fiszer.

Dwóm Bogom — sercu i rozumowi, służyć nie można, należy wybrać jedno lub drugie, w przeciwnym bowiem razie pada się ofiarą duchowej rozterki, — oto myśl do jakiej, wnosząc z toku opowiadania, prowadzi rzecz autor. Nie wchodząc w prawdziwość samej myśli przewodniej, należy zwrócić uwagę na pewny pośpiech widoczny w zewnętrznym wykończeniu powieści, co odbija się nader niekorzystnie na ogólnym wrażeniu.

## SPROSTOWANIE.

W numerze 24-ym „Bluszczu,” w artykule: „Przyczyny i skutki,” na str. 401, szpalta 3-cia, wiersz 31-szy, zamiast: „wyrazu,” czytać należy: „rozkażu.” Na teście samej szpalicy w wierszu 20, zdanie powinno być zamknięte cudzysłowem.



## OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał bieżący.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu” (Ś-to-Krzyżka, 11).

Do dzisiejszego numeru dla Prenumeratorów zamiejscowych dołącza się blankiety przekazów pocztowych, listy zwrotne i koperty.

## Treść numeru:

Z moich wędrówek, przez Wandę Grot-Beczowska. — Nasz kwestyonaryusz paniński. — Przysań, powieść współczesna, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Lubie cię pokoiku (wiersz), przez Iry. — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Z listów do „Bluszczu:” z Londynu, przez Zetesa. — Kronika działalności kobiecej, przez Ż. S. i n. — Na półkach księgarskich. — Sprostowanie. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz pierwszy powieści Dymitra Mereżkowskiego p. t. „Zmartwychwstanie Bogów” (Leonard da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej.

Dodatek: Tablica krajów.

— Klisze do mód w przesyłce z zagranicy zaginęły na kolei, z przyczyny tej dodatek z modami dołączony będzie do przyszłego numeru.

# „ZORZA“

## Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

## SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

Rodzice, pragnący kształcić swe córki w Krakowie, znajdują dla nich wszelką wygodę, opiekę macierzyńską i na żądanie lekcje muzyki, u pani **M. Przybylskiej**, wdowy po lekarzu, a zamieszkałej tamże przy ul. **Retoryka № 2. Kraków.**

Freblowskie Wykłady Zakład **JADWIGI CHRZĄSZCZEWSKIEJ** Nowy Świat № 21  
przyjmuje pensyonarki, przychodnie. Udziela świadectwa, daje miejsca. Francuska stale. Ceny przystępne.

**OBICIA** oraz odnawianie lokali, TANIŃ!  
**STEFAN LOBER**  
PAPIEROWE MARSZAŃKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Szkoła rękodzielnicza cechowa dla kobiet  
**KAZIMIERY MAĆZYŃSKIEJ**  
ul. Mazowiecka Nr. 11, m. 8.

Przyjmuje na różne rzemiosła: kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwo cechowe.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**  
Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzaminy dla nowowstępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczną się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.

PRACOWNIA KÓLDER

**MARYI POMORSKIEJ**

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

„**POTROSZE ZBIORĄ SIĘ GROSZE**“

Warszawskie Towarzystwo

**Pożyczkowo-Oszczędnościowe**

**MIODOWA 3.**

Zarząd Towarzystwa podaje do wiadomości, iż celem ułatwienia w składaniu oszczędności, Towarzystwo z dniem 20 Sierpnia b. r. otworzyło nowy dział oszczędnościowy za pomocą skarbonek. Każda osoba, życząca składać w Towarzystwie drobne oszczędności, otrzyma puszkę metalową za zwrotem kosztów takowej, zamkniętą przez Zarząd Towarzystwa, przeznaczoną do zbierania pieniędzy oszczędzanych, zaopatrzoną we właściwy № oraz książkę wkładową. Z końcem każdego miesiąca delegat Towarzystwa zgłosi się do posiadacza puszek, odbierze zaoszczędzoną kwotę, zapisze do książki i otrzyma poświadczenie o wydanej sumie.

Stopa procentowa od wkładów oszczędnościowych, do puszek składanych, ustanawia się na 3% w stosunku rocznym.

Wkłady czyli oszczędności składane mogą Członkowie Towarzystwa, osoby postronne i Instytucje w rozmiarach dowolnych i nie mniejszych niż 10 kop. (Art. 31 Ustawy).

Puszki metalowe (skarboneki) oraz wszelkie informacje udziela Zarząd w biurze Towarzystwa codziennie od 9 rano do 3 po południu.

# EDELWEISS DE LA TZARINE

Essencja, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.  
Victor Vaissier, Perfumerja w Paryżu, wynalazca mydła Congo Imperial.



Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

**Ant. STRÓMIŁO**

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

## HOROSKOP

Pamiętnik ze skarbcza poezji polskiej

UKOZYŁA.

**WANDA ŻELEŃSKA**

Wydanie drugie powiększone.



Towarzystwo Udoskonalonej  
PERFUMERJI

**A. RALLE i S-ka**

DOSTAWCY DWORU w MOSKWIE.

Oddział Warszawski

ul. WIERZBOWA 7. TELEFON 1129.

Polecają Ostatnie nowości, Perfum,  
Mydeł i Wody Kolońskiej.

Wrzos

Trefle

Champacca  
Violette des Bois  
Chrysanthème.

Dostać można w Perfumerjach i Składach aptecznych.



## ZAWIADOMIENIE.

Długoletni Zarządzający Magazynem Kaukazkim  
J. Chodziejnatow Niecała № 6, ma zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że z powodu zwinięcia interesu przez powyższą firmę otworzył w tem samym miejscu

### Magazyn Kaukazki

i takowy pod własną firmą prowadzić będzie. Zaopatrzywszy się w różne nowości, mam nadzieję że Sz. Publiczność poprze nowo utworzony mój magazyn.

Pozostaję z szacunkiem

6 Niecała 6.

**P. LISIN.**



Linoleum rolowe  
Linoleum chodniki  
Linoleum dywany

poleca **Juljan Meisel**

WARSZAWA. SENATORSKA 22, Telefon 964  
NALEWKI 16, „ 965  
ŁÓDŹ. PIOTRKOWSKA 49, „ 60

Wyłączny przedstawiciel Towarzystwa Prowodnik.

**Album Sztuki Polskiej** Cena w oprawie Rb. 12.

Mam zaszczyt zawiadomić szanowną publiczność, że przy istniejącej **SPECJALNEJ FABRYCE LUSTER** pod firmą

**LEOPOLD IDELSACK**

Warszawa. 1, Bielańska 1.

otworzony został  
bogato assortowany **Skład Mebli**  
stylowych, artystycznych i różnych.

Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność i puszystość,

## OSTRZEŻENIE.



Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań Pudru „IRIS” zupełnie nieszkodliwego, który dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publiczność o zwracanie przy kupnie uwagi na zamieszczone obecnie marki ochronne, zatwierdzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na każdym pudełku. Naśladowstwa będą prawnie poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opakowaniu z podpisem **H. LACHS,**

pudełko po kop. 15, 30, 50, 75.

WARSZAWSKI MAGAZYN

St.-Petersburskiej fabryki

## MECHANICZNEGO OBUWIA

NOWY-ŚWIAT 32,

Poleca na sezon bieżący tylko najlepszy wybór

**OBUWIA**

i **KALOSZY** Petersburskich

TYLKO

W NAJLEPSZYM

GATUNKU.

W Zakładzie Naukowym 6-cio klasowym żeńskim z Pensjonatem i klasą przygotowawczą

**JADWIGI TACZANOWSKIEJ**

Chmielna 48 (róg Zielnej)

zapisy codziennie, lekcje 4 Września.

Dla użytku domowego i samouków

NAJNOWSZA i NAJPROSTSZA

**METODA KROJU i SZYCIA**

z rysunkami

Sukien, Okryć damskich i dziecięcych

**EMILJI EHRENKREUTZ**

Mistrzynie Cechowej z dyplomem paryskim

dn nabycia w księgarniach oraz w SZKOLE KROJU w Warszawie ZGODA 3, CHMIELNA 24.

Cena rb. 2.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote i 14 srebrnych

**dobra PRAZMÓW**

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni **Izabella Ryx.**

Wydawca: *Piotr Laskauer.* — Redaktor: *Maryan Gawalewicz.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Августа 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyzka 11.